BIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO W GDAŃSKU
Uniwersytetu Gdańskiego Biblioteka
CIV 9013

Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V | Warszawa, 10 lipiec 1949 r. | Nr 27 (189)

Mikołaj Rostworowski

Planowanie dla wolności

Brak wspólnego słownika w dyskusjach na tematy społeczne, toczonych obecnie przez katolików polskich, wydaje się być zasadniczym źródłem niepokojącej bezowocności tych dyskusji. W rezultacie obserwujemy absurdalną sytuację, kiedy katoliccy działacze społeczni zamiast rozprawiać o konkretnych zagadnieniach gospodarczych, czy socjologicznych, trwonią cenny czas na przekonywanie się wzajemne o prawdach światopoglądowych, których uznanie jest warunkiem sine qua non, jakiejkolwiek dyskusji między katolikami.

Trafna diagnoza nie oznacza jeszcze lekarstwa. Na nas, którzy zapoczątkowaliśmy dyskusję, spoczywa obowiązek doprowadzenia jej do pomyślnego końca, czego nie da się osiągnąć przez zlekceważenie niedomówień lub zgodę na niewłaściwą interpretację naszych tez.

Sprawa tzw. „trzeciego wyjścia", tj. katolickiej koncepcji ustrojowej, odrębnej zarówno od kapitalizmu jak i marksizmu stanowi centralne zarzewie sporu, dlatego sądzimy, że obszerniejsze jej rozpatrzenie może się przyczynić do przełamania błędnego koła jałowej scholastyki i pchnięcia dyskusji na tory bardziej konkretne.

Przede wszystkim należałoby spór zlokalizować, nadać mu ramy nie za szerokie i nie za wąskie, ot poprostu takie, na jakie zasługuje: ekonomiczne i społeczne. To będzie słuszne głównie ze względów metodologicznych.

Rzecz jasna wszelkie katolickie rozwiązania społeczne i gospodarcze muszą w sposób organiczny wyrastać z niewzruszonych fundamentów światopoglądowych, skoro jednak obie strony traktują to, jako aksjomat, wystarczy ażeby pogląd na świat aktualny tak samo dziś jak i pięćdziesiąt lat temu spełniał właściwą mu tutaj funkcję pozytywnej normy kontrolnej. Przecież nie co innego jak właśnie obustronna wola wyznaczenia światopoglądowi praktycznych form stosowalności leży u podłoża dyskusji. Nad jej realnym kształtem zastanawiamy się wspólnie, o wcielanie doktryny nam chodzi. W świetle tej oczywistości przerzucanie ciężaru zagadnienia na sprawy doktrynalne, a co za tym idzie sugerowanie, że tam się kryją różnice wydaje się chwytem niedozwolonym i obiektywnie szkodliwym, choćby nawet nie wynikał z zamierzeń dyskutantów. Stwarza bowiem pozór niezgody w zagadnieniach co do jakich nie wolno się katolikom nie zgadzać, a jednocześnie pomija konkretną problematykę ustrojową, której rozpatrzenie było zasadniczym celem dyskusji. Przypomnijmy pokrótce tę problematykę.

Swego czasu postawiliśmy tezę, że dla katolickiej działalności społecznej zaistniała konieczność wyboru między akceptacją ustrojowych form kapitalizmu, a akceptacją ustrojowych form socjalizmu, zakładając brak koniecznego związku między tym ostatnim, a filozofią materialistyczną. Zaznaczyliśmy równocześnie, że trzeciego rozwiązania nie ma i, że my akceptujemy podstawowe elementy systemu socjalistycznego, tj. w dziedzinie społecznej: internacjonalizm i dążenie do społeczeństwa bezklasowego, zaś w dziedzinie ekonomicznej gospodarkę planową uwarunkowaną uspołecznieniem środków produkcji.

Spotkał nas wówczas zarzut, że wyparliśmy się katolickiej doktryny społecznej na rzecz marksizmu i tak przeinaczonemu, a przez nas rzekomo głoszonemu twierdzeniu, przeciwstawiono korporacjonizm jako trzecie, jedynie katolickie rozwiązanie („tertium datur"). Takie jest tło sporu.

Łatwo spostrzec, że zarzut pierwszy uderza w próżnię, gdyż owo nasze „tertium non datur" odnosiło się do form ustrojowych, które winny koncentrować szczególną uwagę katolików w żadnym zaś wypadku nie zakładało [illegible] trzeciego różnego od kapitalizmu i marksizmu bo katolickiego stanowiska. Co się tyczy korporacjonizmu rozumiemy dobrze, że w okresie wszechpotęgi kapitalistycznych form ustrojowych mógł on uchodzić za katolickie „trzecie wyjście". W dalszym ciągu swego artykułu postaram się uzasadnić dlaczego anno Domini 1949 nie jesteśmy skłonni bronić pozycji korporacjonistycznych, jakkolwiek fakt, że były one chrześcijańską korektura kapitalizmu nie każe nam wątpić w ich katolickość.

Rozmyślnie wprowadzam do tych rozważań nieodzowny moim zdaniem element pewnego relatywizmu historycznego, który oczywiście nie może być jednoznaczny z relatywizmem moralnym. Katolicki działacz społeczny każdej chwili jest narażony na dwie pokusy niemal równie niebezpieczne dla powodzenia jego pracy. Pierwsza wynika z charakterystycznej szczególnie dla mentalności chrześcijanina skłonności do ujmowania spraw podlegających nieustannej ewolucji w kategoriach absolutnych. Predylekcja do absolutyzowania ustawicznie zmiennych form społecznych i gospodarczych, uwidacznia się specjalnie jaskrawo w postawie tych katolickich działaczy, którzy np. przed wojną uchodzili za postępowych. Byli nimi wówczas istotnie, skoro jednak w ciągu dziesięciu lat nie postąpili ani kroku naprzód, siłą rzeczy zostali wyprzedzeni przez nas.

Druga pokusa to skłonność do absolutyzowania nitu postępu w jego interpretacji historycznej. Postęp w rozumieniu chrześcijańskim jest zgoła czymś innym, niż automatycznym współbrzmieniem z historią. Czujna obserwacja istotnego nurtu przemian ani na chwilę nie może nam zasłaniać najważniejszych celów osoby ludzkiej, która jest powołana by życie swoje i bliźnich kształtować na wzór i podobieństwo Boże, a nurt przemian kierować w łożysko świadczące wielkość i miłość Stwórcy. Ustawiczne dokonywanie syntezy między tym co wieczne i trwałe, a tym co zmienne i kruche oto wielkie zadanie dla katolickiej myśli społecznej, mającej ambicję niepodlegania historycznym determinizmom.

MECHANIZM CHRYSTIANIZACJI

Wpływ Kościoła katolickiego na kształtowanie społecznych form ustrojowych znalazł swój najpełniejszy wyraz w Europie Średniowiecza. Laicyzacja społeczeństw zapoczątkowana w czasach Renesansu, uchylała stopniowo bezpośrednie drogi oddziaływania Kościoła na strukturę społeczną. W rezultacie tej ewolucji kiedy dziś np. dyskutujemy o katolickości jakichś form ustrojowych, mamy na myśli pośredni wpływ Kościoła, znaczony bądź to drogą przekazu kulturowego, bądź apostolskiego oddziaływania na duszę jednostek.

Chociaż błędem byłoby przypisywać społecznej strukturze Średniowiecza jakąś pełną katolickość, niewątpliwie była ona katolicką przynajmniej w sensie genetycznym. O kapitaliźmie, którego ideologicznym odpowiednikiem jest liberalizm, ani o socjaliźmie, którego ideologicznym odpowiednikiem jest marksizm — nie da się już tego powiedzieć. Napewno w obydwu koncepcjach ustrojowych znajdziemy elementy par excellence chrześcijańskie, jednak występują one całkiem luźno skutkiem czego nie są w stanie wywrzeć decydującego piętna na obrazie całości.

Sytuacja Kościoła, sytuacja katolicyzmu w wieku XX mało przypomina czasy średniowiecza, kiedy katolickie instytucje prawno - publiczne dysponowały realną możliwością bezpośredniego wpływania na kształt struktury społecznej. Wobec utraty przez Kościół pierwotnego znaczenia potęgi świeckiej, musiały ulec diametralnej zmianie metody stosowane przez katolicyzm w celu uświęcania życia doczesnego. Działanie pośrednie zastąpiło ingerencję bezpośrednią. Znalazło to swój wyraz w chrystianizacji każdorazowych form cywilizacyjnych. Nie inaczej miała się rzecz z kapitalizmem.

Encyklika „Quadragesimo Anno" jest encyklika o odnowieniu ustroju bynajmniej zaś nie o tworzeniu całkiem odrębnego, samoistnego wzorca ustrojowego. Jej ostrze zwraca się przeciw ideologii kapitalizmu — liberalizmowi oraz przeciw tym konkretnym kapitalistycznym przejawom gospodarczym, które będąc oczywistym wynikiem stosowania zasad liberalnych w ekonomii gwałcą katolicką moralność. Tak więc „Quadragesimo Anno" koryguje kapitalizm, ale go nie odrzuca.

Jakże wiele można się nauczyć z przykładu wiekopomnej encykliki Piusa XI. Prawdziwymi kontynuatorami dzieła zapoczątkowanego przez dwóch papieży — społeczników, nie ci są napewno, którzy chcieliby odwzorować mechanicznie każde jej praktyczne wskazanie właśnie dlatego wówczas trafne i głębokie, że wynikające ze słusznej oceny aktualnych wymogów rzeczywistości. Rozumienie i stosowanie tej encykliki musi bowiem być nierozłączne z rozumieniem i stosowaniem jej ducha.

„Quadragesimo Anno" nie likwiduje gospodarczych korzeni kapitalizmu. Ojciec Św. korzystając z prawa i obowiązku sądzenia najwyższą swą władzą o sprawach społecznych i gospodarczych, jak o wszystkich sprawach, które mają związek z prawem natury i moralnością, nie uznał za wskazane potępiać tych form gospodarczych, w których kolizji z prawem natury i moralnością nie dostrzegł. Jakiż stąd wniosek? Ten chyba, że nie taka czy inna forma gospodarcza „sama przez się" może podlegać etycznej ocenie, a dopiero takie czy inne jej stosowanie. Formy gospodarcze bowiem nie powstają w rezultacie moralnego lub niemoralnego postępowania, nie tworzą się jako rezultat moralnych czy niemoralnych intencji. Decyduje o nich zazwyczaj szereg złożonych czynników, wśród których postęp techniczny odgrywa rolę dominującą. Z tych względów wypada jak najostrzej się wypowiedzieć przeciw znamiennym dla wielu działaczy katolickich tendencjom uprawiania propagandy mistycznej na rzecz zdobyczy społecznych i gospodarczych, uznanych przez nich za słuszne. Dla katolika terenem wzlotów mistycznych może być tylko problematyka religijna. To, co nazywamy „prawdą społeczną", jest czymś relatywnym i przetłumaczone na język pojęciowy oznaczać będzie

WYTYCZNE

* * *

...nie wie się, czym jest grzesznik. Czymże jest głos w mroku konfesjonału, który szepcze, spieszy się i uspakaja dopiero przy pierwszych sylabach m e a c u l p a? Dobre to z dziećmi, z biednym maleństwem! Ale trzeba widzieć twarze, na których wszystko się maluje, i spojrzenia. Oczy człowieka... O tym można by mówić bezustannie... widziałem wielu umierających; to nic; ci już nie przerażają. Bóg ich osłania. Lecz nieszczęśliwcy, których ja widziałem przed sobą — którzy dyskutują, uśmiechają się, spierają, kłamią, kłamią, kłamią — póki ostateczna zgroza nie ciśnie ich do nóg naszych niby puste worki!

(Z książki Georges Bernanos'a „Pod Słońcem Szatana")

prawdopodobnie najbardziej postępowe (aspekt historyczny, czasowy) zgodne z chrześcijańską moralnością rozwiązanie problemu socjalnego.

KORPORACJONIZM

Myliłby się ktoby sądził, że zalecany przez Q. A. ustrój korporacyjny przynosi jakiś przeciwstawny kapitalizmowi system gospodarczy. Nie dzieje się tak poprostu dlatego, że korporacjonizm jest przede wszystkim pewnym systemem społecznego współżycia, a propozycje gospodarcze jakie zawiera, mają charakter zdecydowanie uboczny, likwidujący ujemne skutki, a nie ekonomiczne podłoże form istniejących. Ten reformistyczny, a nie rewolucyjny charakter korporacjonizmu w dziedzinie rozwiązań gospodarczych nie powinien nas katolików dziwić. Pomijając już względy humanistyczne byłoby co najmniej paradoksalnym domagać się od potęgi moralnej jaką jest Kościół, samodzielnej i nowatorskiej inicjatywy gospodarczej na poparcie której brak mu jakiejkolwiek egzekutywy ekonomiczne skuteczniej. Zadaniem Kościoła nie jest wyręczanie człowieka w handlu czy produkcji. W tych sprawach Kościół zwykł się ograniczać do orzekania co w działalności ludzkiej bywa słuszne i godziwe, a co zasługuje na naganę.

S. P. Ks. Rektor Szymański tymi słowy precyzuje stosunek korporacjonizmu do kapitalizmu:

„Korporacjonizm nie godzi się z kapitalizmem, o ile on jest wyrazem indywidualistycznego poglądu społecznego i liberalizmu ekonomicznego, tj. o ile uznaje zasadniczą nieograniczoność własności prywatnej i współzawodnictwa, dążenie do zysku z pominięciem wymagań etyki, dobra powszechnego i zaspokojenia potrzeb; o ile odmawia państwu ingerencji w dziedzinie gospodarczej i społecznej; o ile znosi wolność zbiorowego działania i samorząd gospodarczy itp. Korporacjonizm może się jednak pogodzić z kapitalizmem, gdyż kapitalizm uznaje własność prywatną, wolność gospodarczą i odpowiedzialność osobistą. I dlatego ani R. N., ani Q. A. nie wzywają do usunięcia i zniszczenia kapitalizmu, lecz do jego przebudowy". („Korporacjonizm". Praca zbiorowa. Lublin 1939, str. 36). I tutaj znowu wypadnie mi powtórzyć uwagę już raz wypowiedzianą: Nie ta czy inna forma gospodarcza, ale użytek jaki się z niej czyni może stanowić przedmiot moralnej oceny. My katolicy nie wierzymy w ślepy, zdeterminowany rozwój historyczny. Podmiotem dziejów jest człowiek i człowiek, a nie siły ekonomiczne, ponosi odpowiedzialność za historię. One tylko najpoważniej **warunkują** typ ludzkiego współżycia, ale **nie określają** go w pełni.

Jeżeli danym nam było obserwować bezprzykładne zwyrodnienie kapitalizmu, ucieleśnione przez hitleryzm — wiemy, gdzie szukać sprawców: nie wśród czołgów, czy narzędzi tortur, nie w fabrykach amunicji, ale wśród ludzi, którzy zawinili ów nieludzki system. Dlatego katolicka krytyka korporacjonizmu, który był próbą nałożenia kagańca zgubnym przejawom kapitalizmu, musi z góry zrezygnować z demagogicznych chwytów, wspartych na przekonaniu o automatyźmie historycznego procesu. Okropności jakie nam zademonstrował degenerujący kapitalizm nie przekreślają w żadnym wypadku wartości systemu, którego urzeczywistnienie mogłoby tym okropnościom zapobiec. Mam tu oczywiście na myśli korporacjonizm katolicki, a nie totalistyczną karykaturę korporacjonizmu, zaprezentowaną nam przez faszyzm Musoliniego. Katolicka krytyka korporacjonizmu winnie tylko będzie dotyczyć proponowanych przezeń rozwiązań społecznych. Wiele z nich jako niezwiązane z taką czy inną formą ekonomiczną ma charakter wskazań ogólnych, dających się realizować w każdym ustroju gospodarczym, nie mówiąc już o zasadniczych wytycznych moralnych, noszących wszelkie znamiona nieprzemijającej aktualności. Pozostaje dziedzina gospodarcza. **Korporacjonizm jest wsteczny w swoich rozwiązaniach ekonomicznych.** Na tym polu prześciga go zarówno kapitalizm bezskutecznie okiełznywany, jak i socjalizm odrzucony z założenia.

W obecnym stadium rozwoju technicznego tylko dwa systemy gospodarcze mają szanse konkurowania ze sobą na dłuższą metę: socjalizm i kapitalizm. Zamiast uciekać się do żmudnego wywodu ekonomicznego wystarczy wskazać na fakty z rzeczywistości gospodarczej obu półkul.

Rozwój kapitalizmu, którego rdzeń stanowi bynajmniej nie własność indywidualna w ogóle, ale przede wszystkim **prywatne władanie środkami produkcji**, jest ściśle uzależniony od przestrzegania zasady nieskrępowanej konkurencji. Odrzucenie zasady nieskrępowanej konkurencji traktowane łącznie z pozostawieniem środków produkcji w posiadaniu jednostki, jak to proponuje korporacjonizm, jest rozwiązaniem połowicznym, które musi zaciążyć ujemnie na rozwoju produkcji, a tym samym na wzroście bogactwa narodowego. W ustroju socjalistycznym, gdzie środki produkcji podlegają uspołecznieniu, analogiczną z gospodarczego punktu widzenia rolę do tej jaką odgrywa nieskrępowana konkurencja w ustroju kapitalistycznym, spełnia **gospodarka planowa.** Umożliwia ona ponadto utrzymanie harmonii między konsumcją, a inwestycją przez co zapobiega kryzysom na które kapitalizm jest stale narażony.

Spróbujmy zresumować powyższe, czysto ekonomiczne spostrzeżenia. Dotyczą one tylko i wyłącznie sfery wydajności gospodarczej trzech porównywanych systemów nie rozcząc bynajmniej pretensji do ich oceny moralnej, gdyż konsekwentnie podtrzymujemy tezę, że przedmiotem osądu etycznego mogą być tylko konkretne skutki wprowadzania danego systemu w życie.

Ocena korporacjonizmu z tego (ekonomicznego) stanowiska wypada negatywnie. Okazuje się, że w dziedzinie produkcji z powodzeniem dystansuje go kapitalizm, nie mówiąc o socjaliźmie, który stosując gospodarkę planową może skutecznie zapobiegać kryzysom.

Nie istnieje chyba nic bardziej obcego mentalności i etyce chrześcijańskiej, niż mit produkcjonizmu, który w myśl haseł ekonomii liberalnej w miejsce twórczej osoby ludzkiej kładzie anonimową siłę roboczą. Naiwnością więc byłoby przypuszczać, że powinniśmy odrzucić korporacjonizm właśnie dlatego, że się temu zgubnemu mitowi przeciwstawia. Czym innym jest jednak hołdowanie zasadzie produkcji dla produkcji, a czym innym lekceważenie mechanizmu życia gospodarczego w ogóle. Korporacjonizm swoją taktyką połowicznego przeciwstawiania się kapitalizmowi rychło musiałby popaść w orbitę jego żelaznych praw. W obecnym bowiem stadium rozwoju technicznego i gospodarczego proponowana przezeń „gospodarka narodowa" jest może do pomyślenia na jakiejś izolowanej wyspie, ale nie w świecie trustów, karteli i monopoli.

Nie ukazując perspektyw gospodarczej wyższości nad systemem kapitalistycznym, nie dostrzegając zwycięskiego pochodu socjalizmu, jednym słowem proponując rozwiązania nie nadążające za ekonomicznym postępem ludzkości, korporacjonizm chrześcijański był z góry skazany na przegraną.

Z naszych błędów winniśmy wysnuć naukę. Jeżeli formułujemy jakieś wskazania praktyczne w dziedzinie życia gospodarczego i społecznego, nie wystarczy ich zgodność z chrześcijańską moralnością. To jest warunek konieczny, **ale nie wystarczający.** Muszą być one ponadto zgodne z czasem. Wtedy dopiero zapewnimy im moc realizacyjną.

PLANOWANIE DLA WOLNOŚCI

Nie trzeba chyba dowodzić, jak ścisła współzależność wiąże system gospodarczy z systemem społecznym. Ten wzgląd właśnie skłania dziś chrześcijańską myśl społeczną do skoncentrowania uwagi wokół zagadnień gospodarczych. Nauczeni doświadczeniem rozumiemy dobrze, że wszelkie postulowanie w dziedzinie społecznej bez jednoczesnego rozwiązywania problematyki ekonomicznej sprowadza się do budowania zamków na lodzie. Tak np. kiedy rozważamy nad zapewnieniem jednostce środkami społecznymi wolnego rozwoju jej osobowości, nie poprzestajemy już na głoszeniu zasad demokracji politycznej. Wiemy bowiem, że demokracja polityczna jest podobnie nierealna, jak zrównania ekonomiczne bez swobody obywatelskiej. Demokracja gospodarcza przetłumaczona na język ekonomii, oznacza sprawiedliwy podział dochodu narodowego, a ten z kolei może zapewnić tylko gospodarka planowa.

W poprzednim rozdziale omawialiśmy pozytywne skutki planowania z gospodarczego punktu widzenia, polegające przede wszystkim na zapobieganiu kryzysom. Sprawiedliwy podział dochodu narodowego nie do pomyślenia w ustroju wolnej konkurencji jest par excellence społecznym pozytywem gospodarki planowej. Dopiero te dwa aspekty traktowane łącznie, pozwalają nam dostrzec w całej pełni społeczną i ekonomiczną przewagę rozwiązania socjalistycznego nad kapitalistycznym. Planowanie dla zapobieżenia kryzysom, jak i w ogóle inne próby interwencji państwa w życie gospodarcze, były wielokrotnie podejmowane w społeczeństwach kapitalistycznych, zawsze jednak na bardzo krótką metę bo indywidualna własność środków produkcji z reguły potrafiła się tym próbom przeciwstawić. Dziś zdaje się nie ulegać wątpliwości, że poddanie środków produkcji pod nadzór społeczeństwa, stanowi nieodzowny warunek powodzenia gospodarki planowej, a co za tym idzie sprawiedliwego podziału dochodu narodowego.

Społeczne skutki urzeczywistnienia demokracji gospodarczej są niesłychanie doniosłe, gdyż przyczyniają się do zniesienia tych wszystkich antagonizmów socjalnych, które wyrosły na gruncie zróżnicowań ekonomicznych. Ów proces właśnie mamy na myśli, mówiąc o dążeniu do społeczeństwa bezklasowego.

Tak w krótkim zarysie przedstawiają się zasadnicze motywy, które skłoniły nas do postawienia tezy, że uwaga chrześcijańskiej myśli społecznej koncentrować się winna wokół rozwiązań socjalistycznych. Zdajemy sobie sprawę, że społeczna i ekonomiczna motywacja marksistów przedstawia się w wielu punktach odmiennie od naszej, że różne były drogi, które ich i nas zaprowadziły do podobnych postulatów. To jednak utwierdza nas tylko w przekonaniu, że między socjalizmem pojętym jako systemem społeczno - gospodarczy oparty o uspołecznienie środków produkcji, gospodarkę planową, dążenie do społeczeństwa bezklasowego i internacjonalizm — a materializmem dialektycznym, nie ma związku koniecznego. Z drugiej strony widzimy jasno, iż twierdzenie powyższe niczego jeszcze nie rozwiązuje. Naszkicowaliśmy ramy, które trzeba wypełnić żywą treścią, wiemy którędy droga, nic ponadto. Program jest napewno bardzo ważnym elementem działalności społecznej, ale jej legitymacją są dopiero skutki.

Pozostaje pytanie czy nakreślenie ram, w których można urzeczywistnić postulat demokracji gospodarczej i zgodnego z postępem technicznym — rozwoju ekonomicznego wolno nam uważać za rozwiązanie współczesnej problematyki społecznej katolicyzmu. W pełnym tego słowa znaczeniu — napewno nie. To dopiero początek drogi, ale na niej i tylko na niej leży szukane rozwiązanie.

W pierwszym rzędzie domaga się przemyślenia sprawa stosunku jednostki do państwa w społeczeństwie bezklasowym, co wcale nie oznacza niezróżnicowanym społecznie. Podział na klasy bowiem wynika z warunków ekonomicznych, a te są tylko jednym z wielu elementów więzi socjalnej. Wydaje się, że zalecana przez Encykliki pluralistyczna struktura społeczeństwa posłuży nam za oś centralną zamierzonych rozważań. To samo da się powiedzieć o zasadzie pomocniczości, która w dziele wielkiej przebudowy gospodarczej winna być szczególnie skrupulatnie przestrzegana. Najwięcej oczywiście kontrowersji wzbudzi w tych rozważaniach sprawa własności prywatnej. Jeżeli o nas chodzi to uspołecznienie środków produkcji, jakie niesie za sobą socjalizm traktujemy jako ograniczenie własności indywidualnej, podyktowane dobrem całości. Jest rzeczą dosyć znamienną, że właśnie ze strony zwolenników systemu korporacyjnego, który przewidywał daleko idącą interwencję państwa w życie gospodarcze, słyszymy często ostrzeżenia przed „kapitalizmem państwowym", który jakoby nieuchronnie musi towarzyszyć uspołecznieniu środków produkcji. Widzimy w tym niezgodną z duchem chrześcijaństwa wiarę w jakiś automatyzm instytucji.

Swobody obywatelskie są funkcją takiego czy innego ustroju politycznego nie zaś takich czy innych urządzeń gospodarczych. Zdają sobie z tego sprawę katolicy, precyzujący wytyczne dla chrześcijańskiego systemu społecznego który wsparty o zręby socjalizmu musi być budowany dla człowieka, gdyż jak czytamy w naszym „Kodeksie Społecznym" jedynie człowiek i to bez wyjątku każdy człowiek, stworzony na obraz i podobieństwo boskie, a nie społeczeństwo, posiada nieśmiertelność. Jedynie człowiek i to każdy bez wyjątku, był umiłowany od Boga i odkupiony przez Jezusa Chrystusa".

Mikołaj Rostworowski

Święty Jan Chrzciciel

Skąd wiem?... Przecie od urodzenia trącał mnie w serce Pan oną wieścią coraz wyraźniej, coraz mocniej szeptaną. Darmom ją odpędzał myśleniem, pracą powszednią, ludzkimi zabiegi... Aż wybuchła w krzyk, którego w sobie nie utrzymam już dłużej!

Cały stawam się wołaniem przeciągłem, nieutulonem — ostrzeżeniem wiekopomnem, którego nie zgłuszy już nic na ziemi. Niechże grzmi po jej krańce — choćby mi odeń pierś miała pęknąć!

Jam-ci nie prorok, jeno Poprzednik... ten co mozolnie rozgarnia splątane gąszcze, iżby się przez nie przedrzeć mogła stopa najświętsza. Nadchodzą czasy... cud czasów, najprzedniejsze człowieczeństwa Gody! Niebo się ku ziemi nachyla, nachyla, tak nisko, tak poufnie, jakgdyby ją chciało w siebie wchłonąć... Już się narodził TEN, którego czekały wieki!

Gdzie się tai?... Ach, nie wiem — i może go nawet nie ujrzą stęsknione oczy.

Nic nie wiecie? nie dajecie wiary? Nie czujecie Go wcale?! A wszak jest On już pomiędzy nami, oddycha tem samem powietrzem, po tej samej stąpa glebie. Cóż uczynić, aby się rozdarła zasłona, co nas od Niego dzieli?...

Precz odrzuciłem wszelkie dobra ziemskie, ażeby mnie nie wiązały — na puszczę uszedłem, by lepiej słyszeć wśród ciszy kroki Jego: tętnią coraz bliżej, bliżej, bliżej!

Nie czujecie nic jeszcze?! Za ramiona was trzęsę, jak wicher drzewa oporne: ...ocknijcie się! słyszycie! wytężajcie wzrok! Iżby nie było zapóźno... Idzie potęga większa niźli orkan, potop, trzęsienie ziemi... biada, jeźli was śpiące zastanie!

Najszczęśniejsze pokolenie ludzkie, wybrane na przyjście Jedynego — czyliż się staniesz pokoleniem przeklętem?!

— — — — — — — — — — —

Ja jestem ucho słyszące pośród głuchych, oko widzące pomiędzy ociemniałymi — jam jeden czuwający, pośród zmożonych kamiennym snem. Jam sygnał rzucony w odmęty morskich ciemności — słup ognisty na pograniczu dwóch światów. Czegóż więcej chcecie odemnie? nie dano mi innego posłania...

— Co czynić? — pytacie.

— Czekać godnie! czekać wytrwale, tęsknie, nieznużenie... Proch zmiatać na drogach, któremi On przechodzić będzie — serca własne oczyszczać i uciszać, aby wchłonęły każde Jego słowo...

— A co jeszcze?

Czyż widzieć mogę? On wypełni: tysiąckroć większy nademnie, Światłość prawdziwa,

— — — — — — — — — — —

Czyliż tak trudno wyczekiwać wschodu słońca, o małowierni, kiedy niebo już od zorzy różowieje?!

Tępota wasza, głusi i ślepcy, przemienia moje radosne skupienie na święty gniew. Za was to czynię pokutę — przez was ochrypł mi głos od wołań wieczyście niewysłuchanych. Z waszej to winy stałem się surowy, twardy, straszny — gromię, miast miłować...

— — — — — — — — — — —

Lecz przychodzą chwile, że dusza mi od was ucieka w dal, ku tej maleńkiej rzeszy, co Go otoczy najciaśniej — za naszych już dni...

Jakże niemiłosiernie ciężka, jak pusta zda mi się moja droga, gdy pomyślę o ich losie błogosławionym!

Czemuż to nie mnie wezwie głos Jego, możny, wnikliwie słodki?

Odeszłaby mnie nawet pamięć nieprawości wszelakiej, gdybym jeno godzien był zawiązać rzemyk u obuwia Jego... dotknąć się rąbka szaty...!

K. O. K.

DOLE I NIEDOLE PRASY AMERYKAŃSKIEJ

(dokończenie)

„Parcie na Zachód"

„Parcie na Zachód" jest decydującym czynnikiem rozwoju Stanów. Dziennikarze byli w awangardzie pochodu. Między latami 1791 a 1821 w skład państwa weszło 9 stanów z 2 mil. ludnością na ogólną ilość 9,6 mil. ludności. W ciągu następnych 30 lat ludność tych ziem wzrosła do 8,7 mil., ogólna ludność przekroczyła ilość 23 mil. Rozpoczęło się tak zwane amerykańskie tempo. Było tam wciąż łatwo zostać z drukarza dziennikarzem, i wielu młodych drukarzy, porobiwszy trochę oszczędności udawało się na zachód. Osady pionierskie, niezależnie od ilości mieszkańców, obsługiwały obszerne zaplecze. Miały stelmacha, cieślę, stolarza, kowala, szewca i aptekarza, czasami garbarza i piwowar. Wśród nich zjawiał się niezawodnie młody człowiek, z workiem czcionek na plecach, z pomocą stolarza i kowala składał swą maszynę drukarską i zakładał pismo. Spotykało się ono z powodzeniem, gdyż ci ludzie z Dzikiego Zachodu, żyjący w najprymitywniejszych warunkach, pracujący ciężko fizycznie, przynosili ze sobą to zamiłowanie do poszukiwania prawdy w faktach, które z Europy wyparło „Ojców Pielgrzymów" i stale dostarczało dopływu z uciemiężanych warstw Europy.

***

Dzienniki po cencie weszły w życie w r. 1830, w okresie finansowego kryzysu. Wtedy to prasa znalazła oparcie nie na prenumeracie, a na sprzedaży ulicznej. Prenumerata wiązała czasopismo ze stronnictwami, — sprzedaż uliczna dała im niezależność, gdyż prasa bezpartyjna znajdywała szerszy pokup. Jednym z 1-ych dzienników po cencie, które osiągnęło powodzenie był nowojorski „Sun". W ciągu roku dziennik uzyskał nakład 4.000 egz. dziennie. On to wprowadził zwyczaj t. zw. hoax, fantastycznych historii opisywanych dla przyciągania czytelników, póki zainteresowanie wzbudzały. Ów słynny hoax tyczył się ludzi i wydarzeń na księżycu!

W r. 1835, kiedy w Nowym Jorku wychodziło 15 dzienników, 11 półtygodników i 31 tygodników, zjawił się na dziennikarskim horyzoncie człowiek, który pozostawił niezatarty ślad na czasopiśmiennictwie Stanów Zj. James Gordon Benett z kapitałem 500 dol. założył New York Herald, który już po 2-ch latach przynosił przeszło 30.000 dol. rocznie. Metodami Gordon Bennett'a były, obok wielkiej pracowitości, wyczucie tego co publiczność interesuje i nieprawdopodobne samochwalstwo. Nawet jego najbardziej prywatne sprawy były mu sposobnością do reklamy. Niewątpliwie obniżył on ton dziennikarstwa. Za to trwałym wkładem Bennett'a została stronica sprawozdań giełdowych, którą przez 1-sze lata sam redagował. Był więc Bennett 1-ym reporterem finansowym, 1-ym, który szerszym warstwom zainteresowanych umożliwił wgląd w sprawy, dotąd zazdrośnie przez potentatów strzeżone.

***

Narodziny syndykatów dziennikarskich miały miejsce w r. 1861, podczas wojny cywilnej, w środkowo-zachodnim stanie Wisconsin, w miasteczku Baraboo. Zabrakło rąk roboczych i A. N. Kellog, redaktor miejscowego tygodnika, nie mogąc sobie inaczej dać rady, zawarł umowę z redaktorem dziennika w miasteczku sąsiednim o przysyłanie mu gotowej strony z wiadomościami wojennemi. Strona stanowiła luźną wkładkę jego pisma. Za jego przykładem 4 redakcje tegoż stanu postąpiły tak samo. W r. 1863 grupa składała się z 30 pism. Umieszczanie ogłoszeń we wkładkach o tak szerokim zbycie dało przedsięwzięciu szerokie podstawy finansowe i w r. 1865 Kellog przeniósł się do Chicago i z odbiorcy stał się dostawcą, wydając ze wspólnikiem drukarzem „gotowy-druk" dla 12 pism. W końcu roku miał już 53 klientów. 2 lata później zaczął wydawać dla prenumeratorów wiadomości polityczne z materiałem demokratycznym lub republikańskim — do wyboru. C. N. U. (Zw. Czasopism w Chicago) zawiązał się w r. 1871, po połączeniu ze związkiem nowojorskim p. n. Amerykański Zw. Czasopism w r. 1875 obsługiwał 1800 pism. Z tych lat datuje uschematyzowanie szpalty na standardową szerokość. Jednocześnie tworzyły się inne związki, co było szczególnie cennym dla pism z Dalekiego Zachodu, nieraz dzieło jednego samotnego pionier a. Również w latach 70-ch zaczęto używać stereotypowe sztance z pogotowiowym materiałem, wiadomościami rolniczymi, gospodarstwa domowego i t. p. Sztance, odpowiednio spiłowane mogły być stosowane w dowolnym miejscu. Największy z syndykatów prasowych Associated Press Organisation powstał w r. 1882 głównie w celu obsługiwania sztancami. Obecnie obsługuje on 1400 dzienników, afiliowany jest z 50 dziennikami w Europie, trafia do 35 mil. osób z 39 mil. czytelników gazet w St. Zjed. Ostatnią zdobyczą Ass. Press jest telefotografia. Członkowie płacą od 20 dol. do 2600 tygodniowo za materiał. Tempo transmisji poszczególnego obrazu wynosi 8 minut — w ciągu 18 godz. 60 fotografii. Jest to chyba największa rewolucja w tej dziedzinie od czasu wynalezienia telegrafu.

Ass. Press tym się przedewszystkiem różni od innych syndykatów dziennikarskich, że ma statut wzorowany na statutach klubów, a nie przedsiębiorstw zarobkowych. Zdarzało się nawet magnatom prasowym, że nie mogli zostać członkami tego syndykatu inną drogą, niż przez zakup pisemka, którego jedyną wartością było członkostwo Ass. Press.

***

„Żółta prasa"

Nie wchodziliśmy tu w szczegóły technicznego postępu, które dziennikarstwo nowoczesne doprowadził do obecnych możliwości. Ograniczamy się do zaznaczania momentów charakterystycznych dla samych Stanów.

Czołowym przedstawicielem przełomu XIX a XX-go w. jest Joseph Pulitzer. W odpowiedzi na ankietę zawodowego pisma „Editor and Publisher" (Redaktor i Wydawca) został on w r. 1934 uznany za najwybitniejszego redaktora St. Zjed.

Pulitzer, syn węgierskiego Żyda i Austriaczki, pochodził z zamożnej rodziny. Mając 17 lat, w poszukiwaniu kariery wojskowej zaciągnął się do wojska amerykańskiego, w ostatnim roku wojny cywilnej, poczem znalazł się tam bez grosza. Z pomocą niemieckiej organizacji opieki nad emigrantami rozpoczął swą karierę dziennikarską. W r. 1883 został właścicielem dziennika N. Y. World. Cóż zatem wniósł Pulitzer?

1) Przede wszystkim nowe metody zdobywania informacji: sztab reporterów przebiegał miasto, wszystko co mogło wzbudzić zainteresowanie przedstawiano, jak najbarwniej. To samo zaszło z wiadomościami telegraficznemi. Poważne informacje pozostały nadal kośćem pisma, tamte służyły tylko do ożywienia.

2) Kampanie w sprawach budzących ogólne zainteresowanie np. przeciw wielkim przedsiębiorstwom, jak Standard Oil, monopol na telefony Bell'a i t. d. Reklama przez organizowanie rekordów i wyczynów, np. podróż naokoło świata reporterki Nelly Bly, z konkursem na najlepszą odpowiedź co do czasu. Nelly Bly objechała świat wszelkiemi dostępnemi środkami lokomocji w 72 dni, 6 g. 11 m. 14 s. Wyczyn powtórzyło 3 amerykańskich reporterów w r. 2936 wygrał Elkins, również z N. Y. World w 18 dni, 14 g. 56 m.

3) Wysoki poziom artykułów redakcyjnych. Pismo było liberalne, wrogie monopolom, popierało podatek dochodowy i spadkowy, w wypadkach strajków przeważnie broniło związki.

4) Pismo było stosunkowo tanie, za 2 centy dawało z początku 8 — 10 str. później do 16.

5) Pierwszorzędne ilustracje, które były nowością i których World dawało na owe czasy stosunkowo dużo.

6) Reklama, choć samochwalstwo niektórych zrażało, na wielu działało sugestywnie.

Pulitzerem kierowały nie tylko względy materialne, niewątpliwie należał on do ludzi, którym zależy, aby trafiać do szerokich mas, a nie do małej elitarnej grupy.

Wyrażenie „Żółta prasa" po raz pierwszy zostało do jego prasy zastosowane. Sensacyjność jest tylko jedną z charakterystyk „żółtej prasy", inne szczegóły tej techniki były (i są):

1) wyolbrzymione tytuły czarne lub czerwone o niezwykłym i sensacyjnym brzmieniu;

2) dużo ilustracji, bez większego znaczenia;

3) mylące i fałszywe informacje, jak urojone interviewi i reportaże, oraz pseudo-naukowe informacje;

4) dodatki niedzielne z kolorowemi, komicznemi rysunkami i małowartościową treścią;

5) ostentacyjne, ale powierzchowne i mało skuteczne sprzyjanie ludziom społecznie pokrzywdzonym.

W r. 1857 śladami Pulitzer'a poszedł W. R. Hearst, syn kalifornijskiego milionera.

Rywalizacja tych dwóch ludzi obniżyła jeszcze poziom prasy. Przyniosła jednak wiele nowości. Wtedy to wprowadzono interview z osobami prywatnymi, które, choć nieraz niedyskretne, były skutecznym sposobem kierowania opinią publiczną. Zapoczątkowany przez Gordon Bennett'a dział sportowy uzyskał pełny rozwój.

Najpoważniejsze zarzuty przeciwko Hearst'owi tyczą się nieszczęśliwej roli, którą odegrał judząc opinię przeciw Hiszpanii, czym, według niektórych historyków amerykańskich, przyczynił się do wybuchu wojny amerykańsko-hiszpańskiej w 1898 r.

Pulitzer i Hearst walnie przyczynili się do rozpowszechnienia prasy, ale zrobili ją płytką i nieraz szkodliwą. A pamiętać należy, że prasa amerykańska XIX w. wzięła poważny udział we wszystkich walkach o wielkie ideały: prawo mas do głosu, wolność Murzynów, powszechne szkolnictwo, zorganizowanie filantropii, rozpowszechnienie straży pożarnej, emancypacja kobiet, ruch antyalkoholowy, misje wśród pogan, Am. Czerwony Krzyż, walka o opiekę nad starcami, choremi umysłowo i kalekami. Lecz rozkwit tej działalności przypadł na XIX w. i nosi charakter tej epoki.

***

Jeżeliby poprzez prasę spróbować scharakteryzować społeczeństwo, to narzuca nam się uwaga, że społeczeństwo to nie zawdzięcza swego rozwoju liberalnemu kapitalizmowi i wysokiej stopie życia — gdyż są to tylko etapy tego rozwoju w czasie i niejako jego produkty uboczne. Istotą tego społeczeństwa jest jego pochodzenie od ludzi o zdecydowanych, choć nieraz ciasnych i mylnych przekonaniach wcielającymi te przekonania w życie, w twardych, prymitywnych warunkach, przy niskiej stopie życia i że było to, poniekąd w owym czasie, pierwsze bezklasowe, cywilizowane społeczeństwo świata, zatem rozdział między światem pracy fizycznej, a światem intelektu był zawsze nikły i względnie łatwo przekraczalny.

Taki układ stosunków powtórzył się kilka razy w ciągu dziejów tego kraju i był podstawą jego moralnych walorów. Niestety — dla St. Zj. — te zasadniczo zdrowe podstawy zostały za każdym razem podmyte przez fale rozrastającego w tym czasie kapitalizmu. Za każdym razem zdrowy element pionierów, miejscowy lub napływowy, odpychany był na Zachód. Na jego miejsce przychodzili aferzyści, maklerzy i inni przedstawiciele kapitału i coraz bardziej nadawali krajowi swoje piętno, aż doprowadzili do swego kompletnego triumfu i do stopniowego zaniku cech pionierskich.

W prasie wyraziło się to zwycięstwem reklamy, ogłoszeń nad treścią, sensacyjnych, skandalicznych i tendencyjnych wiadomości nad poważnymi i wiarogodnymi.

Byłoby naiwnością spodziewać się, że amerykańska prasa katolicka może ustrzec się całkowicie cech kraju i epoki w której się rozwija. Prasa katolicka w St. Zj. uległa im również do pewnego stopnia. Jest mniej sensacyjna, tendencyjna i skomercjalizowana niż reszta prasy tamtejszej, ale posiada te trzy cechy, w stopniu nieporównanie wyższym, niż jakakolwiek inna prasa katolicka na świecie.

***

Dwudziestolecie 1865 — 1885 jest dla Kościoła Katolickiego w Stanach Zjednoczonych okresem wielkiego rozwoju. Ilość katolików w tym czasie wzrosła tam dwukrotnie. Działalność Kościoła przejawiła się wtedy przede wszystkim przez zakładanie szkół parafialnych i przez nacisk na reformę ogólnego systemu szkolnego w r. 1867. Ten niespodziewany dynamizm wywołał silny sprzeciw w prasie protestanckiej i liberalnej. Nietylko zjawiły się artykuły z atakami na Kościół Katolicki, ale powstało wtedy parę wyspecjalizowanych antykatolickich czasopism. Aby sprostać takiej opozycji i, do pewnego stopnia, dzięki niej, ilość czasopism katolickich w tym okresie wzrastała stale, aż dorównała prasie najpłodniejszego wyznania protestanckiego Metodystom. Skorowidz z r. 1885 wylicza 74 pisma katolickie na 73 — Metodystów, lecz nakład pism katolickich jest znacznie wyższy.

Trzeba tu jednak dodać, że okres tych dwudziestu lat był jednocześnie okresem niebywałej ekspansji czasopiśmiennictwa w Stanach.

Natychmiast po wojnie cywilnej nastąpił szereg lat pomyślnej koniunktury bogactwa płynęły z ziem zachodnich, pieniędzy było wbród, był to bowiem okres inflacji, panowała istna mania zakładania czasopism. Statystyka, oparta na cyfrach zdobytych przez agencje ogłoszeń, podaje że w r. 1865 było w St. Zj. czasopism 700 — w r. 1870 — ponad 1200, — w r. 1880 dwa razy tyle, w 1883 koło 3300. Statystyka ta nie obejmuje dzienników.

Na przełomie 20 wieku rozpoczął się ruch odwrotny. Zaznaczył się tendencją do scalania, czyli według terminologii amerykańskiej do konsolidacji pism: jedno pismo stawało się właścicielem drugiego, stąd takie nazwy jak Time - Herald itp.

Wpłynęły na to następujące czynniki: zmniejszenie się zacietrzewienia politycznego; wzrastające znaczenie reklamy prasowej, która poszukiwała pisma o dużym nakładzie; oszczędność, związana z wydawaniem pisma porannego i wieczornego za pomocą jednego aparatu administracyjno - technicznego. Doszło do tego, że w r. 1918 Chicago miało tylko 2, Nowy Orlean 1, Cleveland 1 gazetę poranną. Wśród tygodników, szczególnie prowincjonalnych tendencja do konsolidacji zaznaczyła, się długo przed I wojną światową. Ilość miast poniżej 15.000 mieszkańców posiadających 2 pisma zmniejszała się stale od r. 1900. W r. 1930 osiem miast mających ponad 100.000 m. miało tylko po 1 piśmie, bądź 1 pismo poranne i 1 wieczorne w tych samych rękach. Do r. 1940 było już takich miast dwadzieścia pięć. Zaś siedem dużych miast obsługiwały dwa konsorcja redakcyjne. Tylko po 1 gazecie porannej pozostało w Chicago, Cincinati, Pitsburgu, Saint Louis i Detroit. Nawet Nowy Jork, który kiedyś liczył dzienniki na tuziny miał w r. 1940 tylko 4 ranne i 4 wieczorne dzienniki.

Zasadniczo więc najbardziej miarodajnymi są cyfry dotyczące nie ilości pism, lecz nakładu. Te jednak mogą być brane na serio tylko w okresie znacznie późniejszym niż czasy 1865 — 1885. W owych latach wczesnego rozwoju piśmiennictwa katolickiego tego rodzaju dane były uważane za tajemnicę pisma. Agencje ogłoszeniowe, których egzystencja zależała od orientacji w tych danych musiały stoczyć formalną wojnę zanim w tej dziedzinie zdołały uzyskać miarodajne dane statystyczne.

„Catholic World", pod wieloma względami najważniejsze czasopismo katolickie w St. Zj., rozpoczął swój żywot w r. 1865, pod kierunkiem o. Hecka. W tym samym roku o. Granger z uniwersytetu w Notre Dame (Indiana) założył pismo „Ave Maria", które przekształcone zostało w miesięcznik literacki na wysokim poziomie i jako takie przetrwało. W r. następnym oo. Jezuici w Woodstock (Maryland) założyli miesięcznik „Messenger of the Sacred Heart", (Zwiastun Przenajświętszego Serca), później przeniesiony do Nowego Jorku i zwany „Messenger" (Zwiastun), dalszym jego ciągiem jest tygodnik „America", dotychczas jeden z katolickich. Kwartalnik „Catholic Quarterly Review" wydawany w Filadelfii w okresie 1876 — 1924 zachował swoje miejsce w literaturze katolickiej dzięki takim współpracownikom jak kardynałowie Manning i Gibson.

Jako ważniejsze czasopisma, które przetrwały do tej pory, a w każdym razie do II-ej wojny światowej wymienić należy Catholic Herald Citizen, (Milwaukee), od 1870, Catholic Universe (Cleeland) od 1874, Catholic Transcript (Hartford Connecticut) od 1876.

Dużo od tych pism młodszy jest wychodzący w Nowym Jorku tygodnik „Commonweal". W r. b. wypada jego 25-lecie.

Osławiona amerykańska „wysoka stopa życiowa", nie dotyczy widocznie tygodników katolickich nawet w USA, gdyż Commonweal rozpoczyna obchód swych srebrnych godów zapowiedzią rychłego bankructwa i apelem o ratunek. Suma preliminowana dla zapobieżenia zawieszeniu pisma wynosić ma 50.000 dol. i stanowić ma fundusz jubileuszowy, złożony z udziałów po 25 dol., które mogą być płatne ratami. W komitecie jubileuszowym znajdujemy z bardziej znanych na terenie europejskim postaci: dziennikarkę Dorothy Day powieściopisarkę Helenę Iswolsky, córkę b. rosyjskiego ministra Spraw Zagranicznych, znaną w literaturze ze współpracy z J. Kessel'em i Jakóba Maritain. Apel ogłoszono w nr. z 11 marca. Na 1 kwietnia komitet donosi, że zrealizowano 398 udziałów, czyli prawie 20% potrzebnej sumy. Ostatnie sprawozdanie z 22 kwietnia donosi, że zrealizowano 553 udziały, czyli przeszło 27% — przyczym 16 udziałów wykupiły seminaria duchowne, uczelnie i akademie, 16 duchowieństwo zakonne, 60 duchowieństwo świeckie, nie licząc biskupów, którzy sami wykupili udziałów 18. Widocznie że akcja odniosła na razie pożądany skutek, gdyż ostatnie nr-y, które do nas dotarły (z 1-ej połowy maja) nie zapowiadają katastrofy.

Na ogół artykuły Commonweal noszą specyficznie lokalny charakter i trudno doszukać się w nich szerokich ogólno - katolickich podstaw. Wybitnie odbija artykuł, który jednak nie może posłużyć do charakterystyki pisma, jest bowiem pisany przez Europejczyka, Niemca, będącego w piśmie tylko gościem.

Autorem tego artykułu pt. „Zadania Katolickiego Czasopisma" jest Frans Joseph Schoening, redaktor niemieckiego, katolickiego pisma „Hochland". Przesłanki jego są interesujące i śmiałe.

„Pierwszym zadaniem katolickiego periodyku — pisze Schoening — jest być katolickim. Wygląda to na tautologiczny truizm, ale jeżeli się temu przyjrzymy bliżej, to spostrzeżemy, że nawet katolicy nie zawsze sobie dokładnie z tego zdają sprawę, że wyraz katolicki oznacza powszechny.

Choć, w teorii nie może być spornym, że Chrystus umarł dla wszystkich ludzi to zastosowanie praktyczne tej prawdy do jakiejkolwiek nie lubianej grupy zawsze wzbudza silny sprzeciw.

Zatym 1-szym zadaniem katolickiego periodyku jest, aby nie sugerował niekatolikowi, lub nie wierzącemu, że jest pisany dla wybranych, nie jako dla zbawionych, ale że również służyć ma wszystkim, którzy jeszcze nie żyją w prawdzie, ale jej szukają, w miarę swych możliwości. Nie jest to punkt łatwy do wytłomaczenia, tym, którzy patrzą na katolicyzm, jako na politykę partyjną i którzy, tym samym wychodzą z partykularnego i polemicznego stanowiska. Może — wysuwa paradoksalnie Schoening — byłoby lepiej unikać w ogóle wyrażania „katolicyzm", które upodabniane jest do rozmaitych „izmów", sprzecznych z duchem Kościoła, co utrudnia drogę do prawdziwej katolickości, w jej najwyższym znaczeniu?

Natychmiast, jednak zastrzega się autor, że nie ma bynajmniej zamiaru polecania między wyznaniowego stanowiska, przeciwnie chodzi mu o pełną zawartość Wiary do której należy świadomość, że Chrystus umarł za wszystkich, że kochając go musimy kochać i tych którzy, czy to z braku wiadomości, czy celowo pozostają poza Kościołem. Oznacza to jednocześnie, że pismo nie powinno mieć tonu zadowolenia z siebie, wyższości, ani zakłamania, w stosunku do tych którzy nie są w posiadaniu. Gdyż pismo katolickie również musi wciąż poszukiwać prawdę...

W wielu krajach (autor szczególnie u względnia Niemcy) katolicki publicysta działał głównie w dobrze sobie znanym i zamkniętym kole. Wojna wprowadziła w różnych dziedzinach prawie powszechną diasporę. Powoduje to powstawanie nowych form apologetyki — przechodzenie z defensywy do ofensywy, apologetykę w ściślejszym znaczeniu zastępuje działalność misyjna.

Zakończył się okres w którym podkreślano katolicką samowystarczalność: posiadanie „swoich generałów, swoich lotników, swoich specjalistów w każdej dziedzinie. Na miejsce tak pozbawionych treści argumentów należy wprowadzić problem przedstawiania ducha katolickiego w całej jego bogatej i uniwersalnej treści. Potrzebnym jest po temu wytępienie wszelkiego ducha partyjnego.

To nas zaprowadzi do stwierdzenia, że Chrystus musi być ośrodkiem katolickiego czasopisma nawet wtedy kiedy się to niezpośrednio nie rzuca w oczy. Katolickie czasopismo może być poświęcone sprawom publicznym nie mającym pozornie związku z religią. Czytelnik posiadający wyczucie katolickie powinien jednak mieć przy tym wrażenie, że wytyczne pisma tworzą się jakby pod kontrolą Chrystusa, ku Niemu i z Niego. Taki duch będzie gwarancją, jak najszerszej powszechności, gdyż Chrystusa nie da się ograniczyć do żadnego partykularza, a nawet do żadnej odrębnej cywilizacji.

(Dokończenie na stronie 10)

Jerzy A. Górski

W KAWIARNI

Dwie czarne proszę...

Pułkownik patrzył z niesmakiem na zieloną suknię kelnerki.

Podobno — nachylił głowę ku Piotrowi — w Polsce usługują teraz panie z towarzystwa.

Tak — potwierdził Piotr i tonem wyjaśnienia dorzucił:

To pozostałość z czasów okupacji. Siła przyzwyczajenia. Za rok już tego nie będzie... Czasy normalizują się.

Normalizują się, powiada pan— podchwycił z chropliwym śmiechem pułkownik — no daj Boże, daj Boże... To może i kawa za rok będzie lepsza... co?

Niewątpliwie... Ale kawa nie należy do rzeczy najważniejszych. Są i inne sprawy....

Młodość panie... — przerwał mu pułkownik — kawa jest rzeczą bardzo istotna... Kiedyś zrozumie pan to... Włosy posiwieją to i...

Możliwe — półuśmiechem odpowiedział Piotr.

Pułkownik tymczasem rozpędzał się:

Powiadam panu, tam w Anglii człowiek żył dosłownie dzięki kawie, bo też i pierwszorzędna była. Zato żarcie paskudne... baraninka w miętowym sosie... a jakże! Wprost na wymioty się zbierało... Wyście oczywiście myśleli, że tam wszystko doskonałe, piękne, bez zarzutu. Nie... nie...

Sięgnął do kieszeni munduru i wyciągnął paczkę Cameli. Położył papieros na blocie stolika po czym starannie zagiął brzegi opakowania.

A może pan zapali? — zapytał— proszę bardzo — szybko odwijał cynfolię.

Dziękuję — odpowiedział Piotr.

Tak... więc mówiłem o Anglii — ciągnął ochrypłym basem pułkownik — wstrętny naród panie, o ile w ogóle narodem to można nazwać, banda dżemojadów... My, panie, pod Monte Cassino, Tobrukiem, Falaise, Chmbois, cholera wie gdzie jeszcze... Londynu im broniliśmy... tłukło się bractwo po dziurach, ginęło diabli wiedzą poco a oni... — pułkownik rozejrzał się dokoła i zciszył głos — sprzedali nas! Tyle krwi, tyle bohaterstwa — znów perorował — poco? dla kogo?

Przepraszam panie pułkowniku — nieśmiało wtrącił Piotr — ale...

No, chyba nie powiesz mi młody człowieku, że nie mam racji — bas pułkownika nabierał wręcz zaczepnych akcentów.

Ależ nie... — pojednawczo zaczął Piotr, wyraźnie przestraszony możliwością gwałtowniejszej wymiany zdań — ocena pana pułkownika jest bardzo słuszna... zgadzam się z nią... Jednak przyzna mi pan, że... nie biliśmy się ani za Anglików ani też dla nich — podkreślił stanowczym tonem swe ostatnie słowa.

Siedząca przy sąsiednim stoliku młoda dziewczyna zwróciła ku nim wielkie ciekawe źrenice.

Ciszej — syknął pułkownik — nie wiadomo kto tu nas słucha... Pan mnie nie rozumie — stwierdził, wciskając papierosa między wargi — wam tu się wszystkim bzdury śniły i śnią nadal... Byliście dzielni, nie zaprzeczam, ale w gruncie rzeczy — proszę mi nie mieć za złe — cywile. Cóż pan może mówić o wojsku! Czy pan wie w ogóle co to jest wojsko!

Trzasnęła zapalniczka i błękitny kłąb dymu popłynął ku matowej witrynie.

Piotr milczał wpatrzony w twarz pułkownika. Tamten zaś grzmiał dalej:

Polityka, ot co! Rozpolitykowaliście się tutaj ponad miarę. Sami mężowie stanu, genialni stratedzy, narodowi bohaterowie... A żaden na prawdziwej wojnie nie był, nie wie co to front — tylko po lasach z pistolecikiem się włóczył i filozofował. O tak... filozofował... cierpiał za miliony... zbawiał ojczyznę!... Albo ta Warszawa. Nie szkoda to panie tego...

Przepraszam panów — kelnerka oparła tacę o brzeg stolika.

No świetnie, mamy kawę — pułkownik pochylił się nad filiżanką — pachnie zdaje się nieźle...

Panie pułkowniku — niespodziewanie twardo przemówił Piotr — chciałbym, jeśli pan pozwoli, przejść do sprawy, która...

No tak... — przypomniał sobie pułkownik — poto spotkaliśmy się tutaj..., a ja pana nudzę — wycedził z ironią — więc proszę mówić... Słucham.

Piotr patrzył uporczywie w twarz pułkownika, w tą samą twarz, którą znał tak dobrze z pożółkłej fotografii zatkniętej za ramę lustra.

— Zaznaczam z góry, że będę się streszczał... Zresztą niewiele mam do opowiedzenia... Wszystko, co jest mi wiadome, przedstawiłem już panu pułkownikowi w liście. I prawdę mówiąc, nie wiem teraz dlaczego chciałem się z panem spotkać... Sądziłem — usprawiedliwiał się wyraźnie — że tak będzie lżej i panu i...

Pułkownik spoglądał obojętnie na przesuwających się za szybą przechodniów. Nagle zniecierpliwił się:

Dobrze, dobrze... niepotrzebnie wysila się pan na jakieś wstępy. Zemną rozmawia się po żołniersku.. bez literatury — dodał pogardliwie.

Znałem córkę pana niespełna rok — mówił wolno Piotr. — Zaprzyjaźniliśmy się z sobą... — Zaciął się nagle, jakby zabrakło mu oddechu. Pułkownik nie spuszczał zeń spojrzenia swych spłowiało-niebieskich źrenic.

Głos Piotra nabrał teraz akcentu sztucznej swady. Starał się mówić szybko, płynnie; wyrzucać z siebie jak najwięcej słów:

Więc jak wspomniałem przed chwilą, zaprzyjaźniłem się z pańską córką... Bywałem często u niej: mieszkała u pańskiej siostry...

Bratowej, inżynierowa jest moją bratową — sprostował pułkownik.

Później dowiedziałem się o jej aresztowaniu... Jechała rikszą z plecakiem wypchanym konspiracyjnymi drukami. Było w tym dużo niestrożności: w biały dzień... żadnej osłony... No cóż, taka już była, lekceważąca niebezpieczeństwo, ufna w swą szczęśliwą gwiazdę... Gdzieś na Nowym Świecie zatrzymał rikszę patrol. Żandarmii... Sprawdzili dokumenty... Podała je im podobno z uśmiechem: Były w porządku, a ona wierzyła, że nic się jej nie stanie... Ale później otworzyli plecak... Dwa miesiące Pawiaka... —

Piotr umilkł. Pułkownik trwał nieruchomo na swym krześle.

— Zrobiłem chyba wszystko co było możliwe. Istniały pewne drogi i sposoby... Wykorzystałem je... Bez rezultatu. Siódmego czerwca... transportem... Oświęcim... Rozmawiałem niedawno temu, już po wojnie, z jej koleżanką, na której rękach...

Wzdrygnął się przed tym słowem, nigdy dotąd niewypowiedzianym.

Pułkownik nareszcie oderwał wzrok od witryny:

To wszystko? — zapytał, a nie słysząc żadnej odpowiedzi dorzucił — nic nowego mi pan nie powiedział... szkoda!

Zaznaczyłem panu pułkownikowi, że wiem niewiele — tłumaczył się Piotr — w tamtych warunkach nie można było znać szczegółów...

Tak, tak, zawsze tamte warunki! — pułkownik rozgniatał niedopałek na spodku — W tym wszystkim jest jedna rzecz dla mnie niezrozumiała. Pan mi ją musi wyjaśnić. Dlaczego Krystyna musiała zginąć?

Dlaczego? — powtórzył Piotr ze smutkiem — a dlaczego w ogóle ludzie muszą ginąć?

Niech pan nie dekłamuje frazesów — pułkownik zapalał nowego papierosa — Przecież Krystyna nie zabijała ludzi, nie wysadzała pociągów... Nosiła jakieś tam świstki, a to nie przestępstwo... nawet dla Niemców!

Czy pan pułkownik nigdy nie słyszał o tym co działo się w Polsce w czasie okupacji? — gorzko dziwił się Piotr.

Słyszałem, słyszałem... wtedy była wojna... znam się na propagandzie nie od dziś — irytował się pułkownik — ale nikt mi nie wmówi... Nie bronię Niemców, ale jakaś sprawiedliwość i u nich istniała. Opowiada pan, że zrobiło się wszystko. A ja nie wierzę! Umieliście tutaj narażać ludzi.. kobiety, dzieci. Jakąż wagę miało dla was życie człowieka? Bawiliście się w powstanie! Pracowaliście na ordery, na pomniki...! Cóż was mogła obchodzić czyjaś niewinna śmierć!

Pan pułkownik wybaczy — wtrącił spokojnie Piotr — Polska to nie hotel Rubens.

Twarz pułkownika spurpurowiała nagle, na prawej skroni zarysowała się gruba żyła:

Nie Rubens? A cóż pan może o tym wiedzieć!

— Czy pan sądzi, że o moje dziecko nikt się już więcej poza panem nie troszczył? Słyszał pan o Stasiaku — zagadnął obcesowo — o dyrektorze Stasiaku?

Słyszałem — wyszeptał niemal Piotr.

Na wargi starego oficera wypełz szyderczy uśmiech:

Więc tak... Ale wtedy nie pomyślał pan, że trzeba zwrócić się do kogoś starszego, bardziej doświadczonego, a nie polegać na własnej, pożal się Boże, mądrości. Stasiak też do mnie napisał... Pan niedomyśla się z pewnością... no bo i skądże? Otóż dyrektor, pułkownik mocno zaakcentował ten tytuł — Stasiak pisał, że gdyby tylko był powiadomiony wciągu dwudziestuczterech godzin odzyskałaby wolność. Stasiak miał stosunki, kontakty z Niemcami, stał na czele jakiejś tu polskiej instytucji opiekuńczej... Ale pan nie wpadł na to, aby się doń zwrócić!

Czy pan pułkownik jest tego zupełnie pewien — Piotr mówił cicho i z trudnością, na policzki wystąpiły mu krwisto-czerwone rumieńce.

Czy jestem pewien? Czegoż to znowu? — krzyknął pułkownik.

— Tego że Stasiak uratowałby Krystynę.

Panie, ja mam już dosyć tych rozmówek — pułkownik wyszarpnął z kieszeni chustkę i szorstkim ruchem otarł pianę z kącików ust — Czy pan rozumie? Stasiaka znam od dziecka, w piasku się z nim bawiłem; to przyjaciel nie tylko mój, ale i całej naszej rodziny, człowiek bezgranicznie nam oddany, a przy tym — w głosie pułkownika zabrzmiał odcień dumy — tęga głowa, były wojewoda... ba! kiedyś minister nawet, wielki finansista, na europejską miarę!

Finansista — powtórzył cicho Piotr.

Mówił pan coś — nastroszył się pułkownik.

Nie... myślę tylko... — odrzekł Piotr — Jak pan sądzi pułkowniku, czy mordercą jest zawsze ten który zabija? czy słyszał pan kiedyś o zbrodniach, za które nie wymierza kary żaden sąd, bo właściwie... nie zostały popełnione.

Nie jestem filozofem — twardo odciął się pułkownik — Niech mi pan oczu nie mydli! Cóż to ma do rzeczy? Pan, chciał tej rozmowy, więc proszę, rozmawiajmy... trzeba być konsekwentnym!

Widzi pan — Piotr wpatrywał się teraz w jakiś punkt na powierzchni nietkniętej kawy — wspominałem o sposobach... różnych drogach... Otóż w kilka dni po aresztowaniu Krystyny, kiedy szukałem wielkie ilości dróg, spotkałem kolegę... nazywał się Grzeszczyk... Zresztą mniejsza o nazwisko...

Grzeszczyk — zainteresował się pułkownik — był u mnie wachmistrz Grzeszczyk... niech no sobie przypomnę... chyba w siódmym ułanów...

... więc właśnie ów Grzeszczyk podjął się uzyskać zwolnienie Krystyny... Trzeba się jednak śpieszyć... Nazajutrz miał odejść transport... Termin był krótki — dwie godziny, a suma znaczna: trzydzieści tysięcy. Zacząłem szukać... Czasu było mało... lato... ludzie poza miastem... i wtedy...

Łajdaki — warknął pułkownik — za to brać pieniądze...

Brali przede wszystkim Niemcy, panie pułkowniku — przerwał mu Piotr — a jeśli nawet Polacy, to też w tym nic dziwnego.

Teraz rozumiem — pułkownik uderzył dłonią w szklany blat stolika. Dźwięknęła spadająca ze spotka łyżeczka — Pan szedł swoją drogą: nie było pieniędzy — rzekło się trudno, a dziś mówicie, że nie można było...!

Wtedy — w Piotra wstąpiła pasja, podniósł głowę — wtedy poszedłem do Stasiaka.

Pułkownik znieruchomiał. Dłoń trzymająca papieros zastygła w powietrzu:

Poszedł pan... do Stasiaka...

— Tak... akurat było wielkie przyjęcie... zastawione stoły... tłum gości... mundury... Właśnie jak pan mówił, kontakty... Stasiak przyjął mnie bardzo uprzejmie...

No widzi pan — triumfował pułkownik.

— ... Wysłuchał... mówił i o tym, że w piasku z panem pułkownikiem... pytał o pana, żonę, córkę... Powtórna prośba o pożyczkę... zastawało zaledwie pół godziny... Rozkładał ręce... tłumaczył, że z duszy serca ale że nieprzygotowany, że tamci zaczekają... Później wszedł ktoś... Przepraszał... mówił, że jest oddany... ściskał dłoń... Jeszcze od drzwi się wrócił... pięćset złotych...

Przez krótką chwilę w oczach pułkownika odbiło się przerażenie:

I co... — wyjąkał chrapliwie.

— ... Nazajutrz wyruszył transport... Grzeszczyk przygotował wszystko tylko ja nie przyszedłem... A przecież mogłem go steroryzować... mogłem zabrać pieniądze... zabić...

Patrzyli teraz na siebie w zupełnym milczeniu. W zesztywniałych palcach pułkownika dopalał się papieros.

Przepraszam panów — zbliżyła się bezszelestnie kelnerka — czy mogłabym prosić... schodzę z rejonu...

Zarzący się niedopałek wylądował wreszcie na popielniczce. Pułkownik ożywił się:

... A wie pani, że ta kawa była nienajgorsza... tylko aromat...

Czas na mnie, panie pułkowniku — Piotr podniósł się z krzesła z lekkim ukłonem.

— Szkoda... porozmawiałbym jeszcze z panem... uniosłem się mu że trochę... Pan... no cóż... chyba jest niewinien... Kogóż tu zresztą winić?... Trudno, i tak się już nieodstanie... Dziekuję panu.

Pułkownik zerwał się z krzesła i wyciągając rękę do Piotra stuknął obcasami:

A propos... jaką rangę miał pan w tej... tam... Armii Krajowej?...

Piotr zdejmował już palto z wieszaka, gdy doleciał go raz jeszcze tubalny bas pułkownika:

Panie, czy nie zna pan czasem adresu Stasiaka?... zgubiłem gdzieś..., a muszę go przecież zobaczyć... Tyle lat...

Dyrektor Stasiak, panie pułkowniku — spokojnie odrzekł Piotr trzymając już rękę na klamce — urzęduje w banku, pod dawnym adresem.

WNĘTRZE i WYSTAWA
PL. GRZYBOWSKI 2 WARSZAWA
WiW
SP. Z O.O.
PROJEKTUJE I WYKONYWA
WNĘTRZA I WYSTAWY
WSZELKIE WNĘTRZA,
ŁĄCZNIE Z MEBLAMI
BUDOWA WYSTAW

W świecie

Obniżono stawki

Najbardziej ważkim — w powodzi innych — komentarzem do wyników miesięcznej konferencji Czterech Ministrów w Paryżu, jest fakt obniżenia stawek ubezpieczeniowych dla okrętów przez anglosaskie towarzystwa asekuracyjne. Dyrektorzy koncernów ubezpieczeniowych uznali, że statkom pływającym po świecie grozi obecnie mniejsze niebezpieczeństwo, niż przed dwoma miesiącami. A więc, że obecnie niebezczeństwo wojny jest dalsze niż przed konferencją. To znaczy — innymi słowy — iż pokój ma szanse trwałości.

Ta jedna wiadomość wystarczy właściwie za cały komentarz polityczny. Mógłbym w tej chwili postawić kropkę, podpisać się, iść spać i z czystym sumieniem zażądać od redakcji pełnego wynagrodzenia za solidny felieton polityczny, mający wyjaśnić funkcje zaszłych na świecie zjawisk.

Pierwsza połowa obrad w Paryżu upłynęła pod znakiem jawnego — obrady były w tym okresie naogół jawne — demonstrowania swych programów odnośnie Niemiec. Było to składanie wizytówek i mało przychylne krytykowanie programu strony drugiej. Jasnym jednak się stało, iż na tej drodze jakiekolwiek porozumienie jest niemożliwe. Poczęto więc konsultować się w gronie bardziej scisłym i zaprowadzono w drugiej połowie obrad — konferencje tajne, podczas których przedstawiciele mocarstw znacznie swobodniej mogli ze sobą rozmawiać.

Obrady niejawne prowadzone w Paryżu zakończyły się porozumieniem. Ogłoszono komunikat, którego myśli przewodnie dadzą się streścić następująco:

Ustalono, iż „mimo niemożności osiągnięcia na tej sesji porozumienia w sprawie przywrócenia gospodarczej i politycznej jedności Niemiec" — jedność ta pozostaje zasadniczym celem dalszych obrad czterech ministrów, które mają być kontynuowane w czasie wrześniowej sesji ONZ i w terminach dalszych, ustalonych we wrześniu. Przywrócono zerwaną przed rokiem działalność rady czterech komendantów Berlina szczególnie odnośnie złagodzenia skutków fiskalnego i administracyjnego podziału między strefami zachodnimi a tu Berlina oraz zagadnień handlowych i komunikacyjnych wschodnią. W związku z tym utrzymano w mocy porozumienie zawarte 4 maja w New Yorku, na mocy którego zniesiono przedział komunikacyjny między Berlinem a zachodem, oraz między poszczególnymi sektorami tego miasta, zachowując jednak odrębne waluty wewnątrz Berlina i dwa odrębne magistraty. Postanowiono odnośnie rozstrzygania zagadnień komunikacyjnych i handlowych zasięgać opinii niemieckich rzeczoznawców oraz zalecić instytucjom niemieckim wszystkich strefintensywnienie wzajemnej wymiany gospodarczej.

Pozornie rezultaty konferencji paryskiej odnośnie problemu niemieckiego są raczej skromne. Utrzymano tak podział Niemiec jak — absurdalny i średniowieczny — podział samego Berlina. Zniesiono tylko wszelkie ograniczenia komunikacyjne oraz podjęto stosunki handlowe z zaleceniem ich wzmożenia. W warunkach niemieckich jednak wymiana handlowa i łatwość przejazdowa ma kapitalne znaczenie jako warunek sine qua non normalizacji życia narodowego i państwowego. Jest to uregulowanie funkcji gospodarczych, a od nich ostatecznie zależy niebywale dużo! W efekcie osiągnięcie tego porozumienia w sprawie Niemiec, oraz dalekoidącego w sprawie traktatu pokojowego dla Austrii — wskazuje na jedno: na zwycięstwo tendencji pokojowych w polityce międzynarodowej.

Przyznać trzeba, iż w tym względzie polityka ZSRR osiągnęła niemały sukcesc dyplomatyczny.

Znaleziono formuły cząstkowego, lecz nader istotnego — kompromisu. Po raz pierwszy od jesieni 1946 roku czterej ministrowie ogłosili wspólnie podpisane praktyczne decyzje.

Było to niby echo pokojowych manifestacji Wrocławia i Paryża. Towarzystwa asekuracyjne obniżyły stawki okrętom.

(beta)

Co piszą inni...

WIELE było dotąd sporów na temat związania czy rozdziału nauki od życia. Dawniej linia podziału była daleko wyraźniejsza. Dziś zrozumienie konieczności, celu i sensu bezpośredniego związania nauki z życiem jest powszechne i coraz mniej jest ludzi, którzy chcieliby zamknąć naukę w odizolowanej od życia kapliczce. Punkt ciężkości sporów na te tematy przesunął się jednak już dziś z dyskusji co do samej zasady — na dyskusje co do stopnia i sposobów bezpośredniego wiązania nauki z życiem.

Ciekawy artykuł omawiający te zagadnienia zamieścił ostatnio prof. Witold Rybczyński w „Tygodniku Powszechnym" („Nauka jako służebnica życia" — Tygodnik Powszechny nr 25/223).

Zauważa on przede wszystkim znamienny dla dotychczasowej historii nauki fakt zbliżania się nauki do życia w okresach wojennych i rozbratu nauki z życiem w okresach powojennych. Szukając wyjaśnienia tego zjawiska zdecydowanie przeciwstawia się stanowisku niektórych „chwalców wojny", którzy gotowi są widzieć w istocie wojny jakiś dodatni element przez to, że w tych okresach właśnie najbardziej rozwija się postęp techniczny. Nie zaprzeczając faktom, że w okresach wojny dokonywał się niejednokrotnie przewrót w technice i wzrastała fala wynalazczości — wytłumaczenia tego zjawiska trzeba szukać w czymś zgoła innym niż w przyznaniu wartości i słuszności właśnie wojnie.

Bardzo prosto i słusznie wyjaśnia to prof. Rybczyński pisząc — „istotną przyczyną tych wszystkich dobrodziejstw powstałych podczas huku armat nie jest wojna, lecz fakt że w czasach grozy cały naród skupia swe wysiłki w zgodnym celu odpowiadającym nakazom chwili".

Słusznie jednak stawia Rybczyński pytanie dlaczego po każdej z poprzednich wojen nauka brała rozbrat z życiem.

Trudno byłoby chcąc trzymać się historycznej ścisłości dać odpowiedź na to co było też przyczyną pierwszą, a co wtórną. Czy dążenie naukowców do wyizolowania się i zachowania tzw. czystości nauki, czy nieumiejętność zorganizowania przez poszczególne ustroje stałej bezpośredniej współpracy uczonego z życiem w czasach pokoju. Historycznie biorąc napewno obydwie te przyczyny wzajemnie się krzyżowały, natomiast generalne przyczyny odizolowania się nauki od życia tkwią niewątpliwie w wadach i błędach społeczno-ustrojowych.

Z tego rozbratu nauki i życia wynikały szkody zarówno dla kulturalnego i technicznego rozwoju społeczeństw, jak i dla samej nauki.

— „Przez długie wieki kroczyła nauka na czele postępu — pisze W. Rybczyński — jako zbyt wysunięta czujka, nie troszcząc się o braki i pragnienia daleko w tyle postępującego za nią tłumnie. To uprawianie nauki jako sztuki dla sztuki zwiększyło przedział czasowy pomiędzy teorią, a jej zastosowaniem opóźniając postęp techniczny". Podaje też Rybczyński przykłady odkryć, które ulegały zapomnieniu, czekając na ponowne zainteresowanie się nimi badacza i na zastosowanie w praktyce życia.

„Ezoteryczność nauki nie da się dłużej utrzymać". To jest jasne i poparte powszechnym zrozumieniem. Chodzi tylko o sposoby wiązania nauki z życiem. Chodzi o tworzenie warunków i powszechne realizowanie takiego stosunku nauki i życia, któryby zapewniając wolność i swobodę twórczą uczonego realizował postęp nauki przy jednoczesnym jak najściślejszym związaniu jej postulatami ogólno-społecznymi.

Stosunkowo najłatwiej do zrealizowania wygląda ten problem w naukach przyrodniczych i technicznych. Tych też dziedzin wiedzy przede wszystkim dotyczy artykuł Rybczyńskiego. Ale i w naukach humanistycznych i społecznych rozbrat nauki z życiem nie jest bynajmniej koniecznością, choć związanie bezpośrednie nauki i życia wymaga tu innych, i może bardziej subtelnych form. We wszystkich dziedzinach wiedzy wymaga ono zapewnienia uczonemu swobody twórczej, ale swobody i wolności twórczej nie jakiejś anarchistycznej, aspołecznej i odizolowanej od życia, ale swobody tylko takiej jakiej wymaga zrozumienie istoty nauki i istoty której treść chyba najlepiej oddaje słowo: s z u k a n i e.

Omawiając możliwości i potrzeby ścisłej współpracy uczonych z uspołecznionym przemysłem i całą gospodarką narodową, porusza także Rybczyński niezwykle istotny problem zespołowości pracy naukowej i powiązania we wzajemnej współpracy różnych dziedzin wiedzy. Wreszcie w zakończeniu pisze:

— „Naturalnie owa planowo-doradcza kontrola nad pracami uczonych musi mieć pewne granice. Badacz oddający swe siły dla dobra ogółu nie może zaniechać teoretycznych i doświadczalnych badań, niezwiązanych z praktycznym zastosowaniem i to w kierunku przez siebie obranym. W nauce istniały i będą istnieć dzieła sztuki dla sztuki, gdyż nauka jest sztuką. Bowiem logicznie i przejrzyście zbudowana teoria, obejmująca szeroki zakres zjawisk, wzbudza uczucia estetyczne, podobnie jak widok monumentalnej, a pięknej architektonicznie budowli.

....Lecz niepodobna wznosić samych muzeów; należy przede wszystkim pomyśleć o domach mieszkalnych, plodach wiedzy stosowanej.

....Maciej Wierzbiński pisze gdzieś z gryzącą ironią:

„Pod hegemonią analfabetyzmu nie ma miejsca dla sztuki nie stosowanej". Analfabetyzm zanika, a poziom powszechnej kultury niewątpliwie wznosić się będzie. Nie zabraknie więc miejsca i dla czystej sztuki i nauki. Cała rzecz w tym, by każda twórcza myśl jak najrychlej zstąpiła z niebosiężnych sfer abstrakcji i przybrawszy ziemskie kształty została wprzęgnięta do służby dla dobra ludzkości."

tm.

STANISŁAW PAGACZEWSKI

Nocą ku wakacjom

Nocą ku wakacjom — prosto w ranek
lipcowy
pociągiem po dygocących szynach.
Lipiec rosą się myje —
wierzby się pasą na łąkach —
obłoki na niebie jak gęsi stadem...

Matczyne ręce. Spokój i wielka radość.
Za oknem świat w rozpędzie gna po
telefonicznych drutach —
wiklinowe wozy spływają gościńcem
wstecz —
pionowo rośnie upał

Gdy pociąg wyrzuci nas w zapachu
rumianków
na rozgrzanym, cichym przystanku
końskim chrapaniem zaśpiewa lato.
Makami dnie lipcowe popłyną po zbożu.
Będzie wilgotny śpiew za kalinową
bramą —
...dzieciństwo dziś mi pachnie jak łąka
o czwartej nad ranem.

STANISŁAW PAGACZEWSKI

Upał

1.

Zielone słowa o wakacjach wiszą na drzewach modlących się o burzę. Miasto ciepłym ciastem upału rośnie w krótkich godzinach szalonych nocy. Smutek anten delikatny, jak uśmiech ułomnego dziecka. O, wyzwól nas z asfaltowej niewoli lotniku, dążący w czerń nocnego upału.

Latarnie chwieją się pijane zapachem jaśminu i rozgrzanyjch ciał.

Poezją nóg kuszą kobiety o oczach jak dalekie pejzaże.

Górom już czas. Wyrosły w pachnącą ziemię i kuszą strumieniami.

2.

Porankiem pozdrawiam cię dziewczyno. Kiedy nad plantami mojego Krakowa podnosi się szaroróżowy pył świtu, asfalt stuka krokami człowieka, niosącego w żyłach rytm egzotycznej Maquaquity. Szumi w uszach melodia Oceanu i kłuje wspomnienie białych żagli. Za pastelowo czarną krawędzią kamienicy, w której śpią ludzie śniąc nad ranem o nagich ciałach tancerek, rodzi się nowy dzień. W narodzinach dnia jest smutek umarłego świtu i nocy, która musi odejść. Ale ten smutek nie jest tragiczny. Wierzę w dzień, w poemat chłodnych gór wołających mnie hołokaniem pastuchów, i w chwilę, która jest.

3.

Gdy gołębie spadają jak krople śmietany na czarną chmurę płynącą poprzez Mariacki kościół — wtedy będzie burza.

Otwieram okno — jestem spragniony szumu wody. Jestem spragniony zapachu asfaltu po burzy.

Nocą — po deszczu — gdy niebo przebiegają drgawki fioletowych błyskawic — rośnie we mnie niepokój, a słowa dławią w gardle.

Słowa pachną mokrą ziemią i wilgocią liści. Gwiazdami pokonana burza wsiąka w zdziwiony horyzont.

Jan Meyszłowicz

LISOW

INSTYTUCJA żołnierska najemnego wchodzi na pierwszy plan wojskowości polskiej dopiero na przełomie 16-ego i 17-ego wieku. Złożyły się na to liczne przyczyny ustrojowe i wewnętrzno-polityczne. Opór szlachty przeciwko płaceniu podatków — na wojnę trzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy, mawiał cesarski kondotier Mantecuculli — sprawiał, że ilość najemnego żołnierza jaką rozporządzała Rzplita była chronicznie poniżej potrzeb, a równie chroniczne zaleganie z wypłatą żołdu wywoływało bunty, konfederacje i opuszczanie szeregów przez całe chorągwie.

Polskie wojska, zarówno najemne jak zawodowe (kwarciane), oraz pospolitego ruszenia, rzadko działały zdala od własnych granic. Od objęcia tronu przez Jagiellończyków do odsieczy wiedeńskiej zdarzało się to zaledwie kilkanaście razy: Warna, 1444, (rycerzy polskich było tam niewielu, stanowili raczej tylko przyboczny orszak króla), około 1.520 trzy tysiące jazdy polskiej znajduje się w Austrii na żołdzie cesarza Karola V przeciwko Turkom, w 1521 Jan Tarnowski prowadzi sześć tysięcy jazdy w sukurs Ludwikowi II, królowi Czeskiemu i Węgierskiemu (Jagiellończykowi) i dociera aż do Belgradu, szwedzka i moskiewska wyprawa Zygmunta III, Czarnieckiego do Danii 1658.

Wiek 17-ty, głównie dzięki wojnie trzydziestoletniej, jest okresem rozkwitu żołnierstwa najemnego, włóczącego się w poszukiwaniu żołdu i łupu po całej Europie. Wśród posiłków przysłanych przez szwedzkiego Karola IX carowi Szujskiemu znajdują się Francuzi, Szkoci, Anglicy, Belgowie. Pod Chocimem (1621) w szeregach polskich było sporo Niemców, Irlandczyków, Szkotów. Wojska Gustawa Adolfa były prawdziwą wieżą Babel. Najemnych żołnierzy 17-ego wieku cechowała w równej mierze odwaga, zuchwałość, wytrzymałość i znakomite władanie bronią jak wyuzdanie, okrucieństwo, niekarność i grabież, te ostatnie nieraz pod maską fanatyzmu religijnego. Tylko szwedzkie wojska Gustawa Adolfa, zanim nie uległy demoralizacji, zwłaszcza po jego śmierci pod Lützner w 1632, odznaczały się przyzwoitą dyscypliną.

POLSCY JURGIELTNICY

Z tej epoki datuje się jedyna w naszych dziejach formacja polskiego żołnierza najemnego, która działając zdala od kraju zyskała znaczny rozgłos— Lisowczycy. Nazwa ta pochodzi od ich założyciela rotmistrza Aleksandra Lisowskiego. Polska, w przeciwieństwie do wszystkich większych państw ówczesnych, pozostawała neutralną przez cały okres wojny trzydziestoletniej, a wyczyny Lisowczyków są jedynym pośrednim i na ograniczoną skalę jej udziałem w wypadkach, które zaważyły decydująco na ukształtowanie się Europy nowoczesnej.

Miarą sławy — niezawsze w dobrym znaczeniu tego słowa znaczeniu— Lisowczyków jest między innymi jeden z niewielu tematów polskich wśród arcydzieł malarstwa światowego, obraz Rembrandta van Rijn, przedstawiający Lisowczyka, na siwym koniu, w czapce lisiej z czerwonym wierzchem, w kożuszku brudno - zielonym, czerwonych spodniach i żółtych butach. Na sajdaku wymalowany jest herb Leliwa. Obuch trzymany przez niego w ręku wydaje się znamienować że należał do starszyzny.

Powstanie tego obrazu pozostało tajemnicą. Rembrandt van Rijn urodził się jako syn młynarza w Leyden (1606), od 1630 przebywał stale w Amsterdamie, gdzie umarł w 1672. Przez całe swoje życie nie opuszczał Holandii. Lisowczycy byli tylko dwa razy nad Renem, w 1622 i w 1636, gdy wzięli udział w oblężeniu Leodium (Liége). Wówczas to najprawdopodobniej musiał się któryś z ich starszyzny zjawić w Amsterdamie i barwność oraz egzotyzm ich stroju, ekwipunku i uzbrojenia narzuciły się zapewne Rembardtowi jako godne jego pendzla. Obraz ten został nabyty w Amsterdamie przez posła Rzplitej Ogińskiego dla Stanisława Augusta i znajdował się w Łazienkach. W czasie wyprzedaży królewskiej spuścizny kupił go biskup Strojnowski, poczym w drodze spadkobrania przeszedł w ręce Tarnowskich z Dzikowa. Sprzedany przed 1914 do Stanów Zjednoczonych, o ile mi miadomo nadal się tam znajduje.

ALEKSANDER LISOWSKI

Daty urodzenia Aleksandra Lisowskiego, pierworodnego z dziewięciu synów i trzech córek Aleksandra Józefa i Szyrkówny, nie znamy. Karierę wojskową rozpoczyna jako prosty żołnierz w pułku Jana Potockiego i bierze z nim udział w wyprawie kanclerza Jana Zamoyskiego na Multany w 1595.

Służąc kolejno pod rozkazami Zamoyskiego, Żółkiewskiego i Chodkiewicza dochodzi w 1604 do rangi porucznika w pułku husarii. Odnajdujemy go pod Kircholmem, tym największym sukcesie taktycznym polskiej broni na przestrzeni dziejów, poczym następuje nowy, mniej chwalebny, rozdział jego życia, charakterystyczny zarówno dla historii formacji, która się od jego nazwiska wywodzi jak i dla anarchii pogrążającej zwolna Rzplitą.

„Duma nieugięta i zazdrość, że się im poniektóre nie dostały urzędy" stoją u źródeł rokoszu Mikołaja Zebrzydowskiego, wojewody krakowskiego i Janusza Radziwiłła, podczaszego litewskiego. Dużo było podówczas na Litwie żołnierza z kampanii inflackiej, który nie otrzymawszy żołdu pomnożył siły rokoszan. Lisowski, idąc za przykładem panów litewskich, zbiera na własną rękę setkę jazdy lekkiej „kozaków", a w rzeczywistości wszelkiego rodzaju hultajstwa, i walczy przeciwko wojskom królewskim pod Guzowem w 1607. Po klęsce rokoszan Radziwiłł ucieka na Litwę, w czym naśladuje go Lisowski.

Przejdziemy teraz do jednego z najbardziej pasjonujących i zagadkowych epizodów historycznych ówczesnej doby, w którym Lisowski odegrał pierwszorzędną rolę: dwóch kolejnych „Samozwańców" na tronie rosyjskim.

PIERWSZY SAMOZWANIEC

Car Iwan III umierając w 1584 pozostawił dwóch synów: Fiodora i dziewięcioletniego Dymitra. Rządy w imieniu młodego i niedołężnego Fiodora sprawuje wielki koniuszy i teść cara Borys Godunow. Los Dymitra jest nieznany, został rzekomo z rozkazu Godunowa zgładzony. W 1598 umiera Fiodor i Borys Godunow, wybitny polityk i organizator, podobny pod wieloma względami do Cromwella, zostaje obwołany carem.

W 1603 zjawia się na dworze Adama i Konstantego Wiśniowieckiego młody człowiek, który długo tułał się na Ukrainie i Wołyniu, znajdując schronienie w prawosławnych klasztorach. Ma jedno ramię wyższe i brodawkę na twarzy, podobnie jak zaginiony w 1584 Dymitr. Młodzieniec ów podaje się za cudownie ocalonego carewicza Dymitra. Polecony przez Wiśniowieckich Jerzemu Mniszchowi, wojewodzie sandomierskiemu, kusi duchowieństwo nawróceniem Rusi na katolicyzm, a wojewodzie obiecuje podzielić się z nim skarbami carskiego tronu.

Wojewodzianka Maryna, bardziej ambitna niż urodziwa, śni już o koronie i zaręcza się z rzekomym Dymitrem. Wojewoda widzi się już teściem potężnego monarchy. „Samozwaniec" musiał być istotnie gładkim, elokwentnym i obrotnym człowiekiem skoro nie naraził zbytnio w roli pretendenta, a uzyskawszy poparcie kardynała Maciejewskiego, spokrewnionego z Mniszchami, został przedstawiony Zygmuntowi III, korzystne na nim wywierając wrażenie.

Pojawienie się w Polsce samozwańczego Dymitra wywołało splot awanturniczych ambicji i chciwości grupy magnaterii, katolickiego prozelityzmu króla i daleko idących politycznych planów, skorzystania z tej okazji dla wciągnięcia Moskwy w orbitę Rzplitej.

Dymitr z wojskiem prywatnie przez Mniszcha i Wiśniowieckiego zebranym przekracza Dniepr, wraz z teściem in spe w roli wierzyciela pilnującego dłużnika. Nieprzeciętna indywidualność Samozwańca, umiejętnie szerzona legenda o cudownie ocalonym synu carskim, ostatnim z Rurykowiczów, oraz malkontenci z pod rządnej ręki Godunowa, ułatwiają mu pochód wgłąb Rosji. Wojska Borysa stawiają słaby opór. Na wieść o klęsce pod Kramami Borys Godunow umiera nagle, a żona jego truje siebie, syna i córkę. W czerwcu 1605 Dymitr wkracza do Moskwy.

W jego otoczeniu jest zbyt wielu butnych i drapieżnie wykorzystujących koniunkturę panów polskich, oraz kleru, nieliczącego się z nastrojami gospodarzy. W maju 1606 przybywa Maryna Mniszchówna i przepych godów weselnych dopełnia miary niechęci ludności moskiewskiej. Pod wodzą bojara Bazylego Szujskiego wybucha powstanie i ogólna rzeź Polaków, w której ginie Dymitr. Maryna chroni się do klasztoru za murami Kremla.

Zdania kronikarzy i historyków o Samozwańcu były podzielone większość, wypowiedziała się o nim jako o zręcznym szalbierzu, któremu udało się czas jakiś odegrywać rolę nieżyjącego carewicza Dymitra.

DRUGI SAMOZWANIEC

Nie ma natomiast żadnej wątpliwości, że drugi Samozwaniec, który pojawił się w Starodubie niebawem po śmierci pierwszego, był oszustem i to niezbyt utalentowanym. Do tej komedii — znalazło się w niej miejsce i na ponowne cudowne ocalenie — namówił go Polak Miechowski, awanturnik i zaufany dworzanin pierwszego Samozwańca. Wojska Dymitra ocalałe z moskiewskiego pogromu, złożone głównie z różnych polskich poszukiwaczy przygód i łupu, znalazły się po jego śmierci w żałosnym położeniu, w głębi Rosji. To też ponowne kreowanie ostatniego z Rurykowiczów odpowiadało im jak najbardziej, podobnie jak i garstce Rosjan, skompromitowanych zbytnią w stosunku do pierwszego Samozwańca uległością.

Na Litwie i w Koronie niemało było w tym czasie mniej lub więcej „urodzonych" bezrobotnych i łasych na lekki chleb i sposobność do obłowienia się. Miechowiecki w swojej korespondencji przedstawia służbę u Dymitra jako nielada gratkę. Dokoła drugiego Samozwańca—uznanego za jej pierwszego męża przez niełatwo porzucającą sny o koronie Marynę — oblegającego Briańsk, broniący drogi do Moskwy, zbiegli się na czele swych zaciężnych rot Zborowski, Adam Wiśniowiecki, który sporo już w pierwszego Dymitra zainwestował, Tyszkiewicz, Lanckoroński, Stadnicki, Rudnicki oraz najmożniejszy z pośród nich Jan Piotr Sapieha, starosta uświacki.

CHARAKTERYSTYKA LISOWCZYKÓW

Znalazł się wśród nich w 1607 i nasz Lisowski z zebraną przez siebie naprędce watahą. Zwerbowawszy sobie jeszcze kilkuset kozaków dońskich rozpoczyna wojnę podjazdową. Lisowski okazuje niepospolity talent wojskowy i aczkolwiek działa przeważnie samowolnie staje się wkrótce najwybitniejszym dowódcą wśród kondotierów Samozwańca.

Wówczas to nadaje swemu oddziałowi — nazwa Lisowczycy rychło się przyjęła — ów specyficzny, indywidualny charakter, który przetrwał wiele lat po jego śmierci, oraz kształci swych podkomendnych na mistrzów wojny partyzanckiej.

Na uzbrojenie Lisowczyków składały się: krzywa szabla, łuk i kołczan, rusznica na plecach, w ręku rohatyna. Konie mieli specjalnie dobierane, z domieszką krwi arabskiej, bardzo zwinne, rącze i wytrwałe, siodła o wysokich łękach, tatarską modą.

Była to typowa nieregularna jazda, nie używająca z zasady zbroi czy kolczugi, odznaczająca się wśród im podobnych pstrokacizną i barwnością strojów, w których przeważały wpływy tureckie i tatarskie. Ta barwność, oraz znakomite posługiwanie się łukiem (z konia), tudzież technika jazdy konnej, spowodowały, że wielu kronikarzy i historyków epoki określało Lisowczyków jako „kozaków". Było to zupełnie mylne. Wśród Lisowczyków służyli i autentyczni Kozacy, ale większość rekrutowała się z zubożałych niespokojnych duchów z pośród szlachty polskiej. Już w czasie operacji w Rosji dołączyło do nich nieco cudzoziemców, zachęconych sprawnością Lisowczyków w zdobywaniu łupów.

Lisowczyków cechowała niezwykła ruchliwość w boju, oraz szybkość posuwania się w najgorszych warunkach atmosferycznych i po najtrudniejszym terenie. Jednym z forteli wojennych doprowadzanych przez Lisowskiego do doskonałości było symulowanie bezładnej ucieczki. Lisowczycy działali przeważnie daleko od reszty wojsk, nie uznawali ani brodów, ani mostów, ani taborów. Żyli z dnia na dzień, zdobywając żywność i furaż w miarę potrzeby, stąd też doszli do gruntownej wprawy w porywaniu bydła.

Na wiosnę 1608 Lisowski dociera aż do Astrachania, w 1612 operuje na granicy fińskiej, a istnieją przepuszczenia, że oddział pod jego dowództwem oglądał Ural i Ocean Lodowaty.

Lisowski jest nieuchwytny, uwija się wszędzie, paląc mordując i rabując. Interesuje się żywo skarbcami cerkiewnymi. Lisowczycy są w akcji niezrównanymi żołnierzami, a talent i szczęśliwa odwaga ich wodza oddały Samozwańcowi nieoceniane usługi. Lecz wszystkie te rycerskie przymioty ustępują w cień przed okrucieństwem i bezwzględnością w grabieniu i pustoszeniu wszystkiego co znajduje się na ich drodze. Obyczaje i duch epoki mogą być uznane tylko w pewnej mierze za okoliczność łagodzącą.

Samozwaniec w czerwcu 1608 dochodzi do murów Moskwy, do czego Lisowski, pomimo klęsk poniesionych z rąk Kurakina, braci Wołkońskich i Sezeremietiewa (nad Wołgą) walnie się przyczynił. W otoczeniu Dymitra wśród polskich wodzów wybuchają spory. Sapieha nie chce nikomu ulegać, a Miechowiecki ginie w kłótni, od szabli kniazia Rożyńskiego. Sapieha porzuca oblężenie Moskwy i odchodzi działać na własną rękę. Przyłącza się do niego Lisowski i obaj oblegają twierdzę i klasztor w Trójcy. Jej bohaterska i długa obrona przez Grzegorza Dołgoruskiego odbija się głośnym echem po całym kraju i podnosi na duchu wojska i poddanych Szujskiego.

Lisowski nie lubuje się jednak w żmudnych oblężeniach, woli plądrować okoliczne miasta „każąc rozpustą wielkie swoje wojenne dzieła". Zima 1608 schodzi mu na tej lukratywnej wojnie. Sapieha oblega nadal Trójcę, gdzie dla przetrzymania srogiej zimy każe kopać dla swoich ludzi, a nawet koni, głębokie, kryte doły, prototyp tak dobrze znanych na froncie wschodnim w pierwszej wojnie światowej „ziemianek".

W 1609 Zygmunt III korzysta z okoliczności, wypowiada wojnę Szujskiemu i oblega Smoleńsk. Polacy walczący po stronie Samozwańca wielce się tym stropili. W obozie Sapiehy w Tuszynie szemrzą, że król przyszedł zająć dla siebie co się innym należy. Zborowski wysyła zuchwały list w którym grozi, że w razie wtrącania się króla w sprawy Samozwańca jego polscy sojusznicy „króla za Pana, a jego wojska za braci, mieć nie będą".

Sojusznicy zresztą kłócą się pomiędzy sobą i pomiatają Samozwańcem— Tyszkiewicz otwarcie nazywa go łgarzem i oszustem — wreszcie dzielą się na dwie grupy: jedna dołącza do króla pod Smoleńskiem, druga pozostaje przy Dymitrze. W międzyczasie rosną powodzenia Szujskiego, który uzyskał pomoc szwedzką i oczyszcza północno-wschodnie połacie kraju. Lisowski operujący daleko na wschodzie z ciężkim sercem przedziera się na zachód, nie w smak mu regularna wojna w wojsku królewskim.

Na wiosnę 1610 Żółkiewski zwycięstwem pod Kłuszynem, w którym bierze udział Lisowski, otwiera drogę do Moskwy.

Bojarowie wypowiadają posłuszeństwo Szujskiemu i wiezą go, obwołując carem pod presją wojsk Żółkiewskiego, królewicza Władysława. Głównym wodzem Samozwańca pozostaje Sapieha. Żółkiewski wzywa go do posłuszeństwa, obiecuje wypłatę żołdu, oraz wstawienie się u Zygmunta o dunie Samozwańcowi w dożywocie Sambora na Rusi, lub Grodna na Litwie. Dymitr „nie myśli się tym kontentować, a tym więcej jego żona jako była niewiasta ambitiosa". Porzucają go jednak jego zwolennicy i 23 grudnia zostaje zamordowany przez dowódcę swych Tatarów, Urozowa.

Polacy panoszą się w Moskwie. Lisowski odpoczywa w Pskowie „handlując zdobyczami rozboju i świętokradztwa" podczas gdy niedobitki jego oddziału zostają wcielone do chorągwi Jana Jaxy Bobowskiego. Zygmunt zwleka z wysłaniem syna do Moskwy, upierając się przy oblężeniu Smoleńska, zdobytego dopiero 6 czerwca 1611, po dwudziestu miesiącach oblężenia. Patriotyzm rosyjski podnosi coraz wyżej głowę, po całym kraju przebiegają emisariusze wzywający do powstania. Pierwszy rusza do boju przeciwko Polakom wojewoda rzeżański Prokop Lepunow.. Powstanie w samej Moskwie zostaje z trudem stłamione przez Aleksandra Gąsiewskiego, który jednak wkrótce zostaje tam oblężony. Zygmunt wyjeżdża na sejm do Warszawy, a wojska jego buntują się i częściowo wracają do kraju. Sapieha rusza na odsiecz Gąsiewskiemu, udaje mu się wejść do miasta, lecz zaraz potym umiera na Kremlu. Zygmunt powierza dalsze operacje w Rosji Janowi Karolowi Chodkiewiczowi.

Różne zaiste sprawki musiał mieć Lisowski na sumieniu, skoro w Konstytucji sejmowej z 1611 roku czytamy:

„Poglądając na posługi urodzonego Aleksandra Lisowskiego Połkownika naszego, który nam z odważeniem kosztu niemałego i zdrowia swego pod ten czas Expedycyj naszej Moskiewskiej

CZYCY

oddaje, Infamią która na nim była od Instygatora naszego otrzymana, vigore hujus Conventus z niego znosimy i one kassujemy".

Chodkiewicz powierza Lisowskiemu misję zebrania chorągwi lekko zbrojnej jazdy. Sejm skąpił pieniędzy na wojnę moskiewską, to też Lisowczycy mają nie pobierać żołdu, poprzestając na tym co na nieprzyjacielu zdobędą. Niemcewicz wkłada w usta Lisowskiego, przemawiającego do swoich nowozaciężnych, te charakterystyczne słowa:

„Na twarde i niebezpieczne posługi zawołały nas Król i Ojczyzna, ale też dozwoliły zakazanych innym pułkom wolności i zysków; w orężu i odwadze cały wasz żołd i cała nagroda — pewniejsze one będą niż zawodne z publicznego skarbu zapłaty".

W październiku 1611 Chodkiewicz i Lisowski dochodzą z trudem do Moskwy, w której murach broni się Gąsiewski. Zarówno wśród odsieczy, jak wśród oblężonych, ambicje osobiste („koroniarzom" przewodzi hetman litewski), zaleganie z żołdem i brak dyscypliny doprowadzają w styczniu 1612 do konfederacji. Chodkiewicz jest zmuszony wycofać się do Smoleńska, a garnizon polski w Moskwie kapituluje.

Lisowski, który wysforował się swoim zwyczajem daleko od swoich, wymyka się skutecznie ścigającym go siłom rosyjskim i poprzez Kijowszczyznę wraca do kraju, obładowany łupami. Sława jego rośnie; wszak ostatni wycofał się z Rosji, a wojsko jego nic nie kosztuje. W połowie 1616 stany litewskie zaciągają nieco wojska dla zasilenia miejsc obronnych Smoleńszczyzny. Wśród niego jest i chorągiew Lisowskiego, który pod Starodubem znajduje śmierć, jadąc konno na czele swych żołnierzy. Nie żołnierską coprawda, bowiem spada nagle z konia, prawdopodobnie rażony apopleksją.

LISOWCZYCY BEZ SWEGO WODZA

Niewielu z głównych aktorów dramatu Samozwańców uniknęło przedwczesnej śmierci. Maryna, jeszcze w 1612, ginie utopiona wraz z synem w przeręblu w Wołdze.

Aż do pokoju Dywilińskiego, w grudniu 1618, Lisowczykami dowodzą rotmistrz Stanisław Czapliński, który ginie pod Moskwą od kuli muszkietowej i Walenty Rogalski, który pierwszy zaczyna się nieoficjalnie tytułować „hetmanem" Lisowczyków. Wyczyny ich zajęły poczesne miejsce w annałach europejskich dopiero w czasie wojny trzydziestoletniej (1618 — 1648).

Po jej wybuchu sympatie Zygmunta III, wbrew opinii większości senatorów i szlachty, leżą po stronie cesarskiej Pierwsza jego żona Anna i druga Konstancja są siostrami cesarza Ferdynanda, a żarliwy katolicyzm króla przysłania mu inne względy. Poseł cesarski Althann przybywa do Warszawy aby wynegocjować na sejmie pomoc polską przeciwko „buntownikom czeskim" oraz ich sprzymierzeńcowi Behlenowi Gaborowi, ks. Siedmiogrodzkiemu, lennikowi Sułtana. Opozycja przeciwko zamysłom królewskim rośnie, między innymi z powodu obaw, aby nie ściągnąć na Rzplitą komplikacji ze strony tureckiej.

Lisowczycy w tym czasie gościli na Podolu. Przyzwyczajonym do obfitych łupów ciasno się w roli „przedmurza". Swawolą okrutnie, dając się przede wszystkim rodakom we znaki. Gdy dobrali się do dóbr królewskich, wymuszając „rekwizycje". Zygmunt pisze do Lwa Sapiehy, Kanclerza Wielkiego Litewskiego:

„Z różnych wiadomości baczemy, że ten pułk Lisowskiego na swawolę się udawszy, długo w dobrach naszych leże odprawować i ubogich ludzi do zniszczenia prawie ostatniego pod pretextem niesłusznych pretensyi zamyślawa... Puszczamy to na zdanie Uprz. Waszej Jeźliby nie dobrze znieść sekrete o tem z przedniejszemi tamecznych krajów obywatelami, aby ci Idzie znieseni być mogli jakoteż insze podobne gromady swawolników zniesione przedtem bywały".

Niepowodzenia cesarskie stwarzają Zygmuntowi okazję do dopomożenia szwagrowi i zarazem pozbycia się uciążliwych Lisowczyków, podległych nominalnie Zółkiewskiemu jako część jego antytureckich garnizonów. Pisze zatym król do Zółkiewskiego, należącego do głównych przeciwników interwencji polskiej na korzyść cesarza: „lepiej by.. rozpustne Lisowczyki zuchwalstwo swoje nieśli w obce krainy, niż gdyby niewinny lud gnębili u siebie".

W GOSCINIĘ U CESARZA

Nalegania z Wiednia stają się coraz natarczywsze, Zygmunt jednak nie może pójść dalej, niż zezwolić w 1619 Jerzemu Humanayowi, aby wynajął we własnym i cesarza imieniu Lisowczyków. Humanay udaje się na Podole, gdzie pertraktuje z Rogalskim, obiecując suty żołd i łupy jakie dusza zapragnie. Rogalski zgadza się chętnie, wszak grabienie i tępienie heretyków gwarantowało ziemskie i niebieskie dostatki, a placet królewskie nadało temu zaciągowi półoficjalny charakter (delegatem króla przy pułkowniku Lisowczyków Rogalskim zostaje mianowany Adam Lipski, chorąży bełzki).

Lisowczycy, których było około 6 tysięcy, przeważnie szlachty polskiej (ciury ich natomiast byli zbieraniną obieżyświatów nie brakło wśród nich nawet i cyganów) zdążyli przed przekroczeniem Karpat spustoszyć dobra kasztelana krakowskiego, co zwiększyło jeszcze niechęć senatorów do prohabsburskiej polityki Zygmunta.

Po ciężkich walkach z Jerzym Rakoczym i bardzo krwawym zwycięstwie pod Homonną (Ruś Podkarpacka) dochodzą do Koszyc, zmuszając Bethlena Gabora do wycofania się z pod Wiednia. Lisowczycy nie odznaczali się nigdy dyscypliną, na ziemi węgierskiej wybuchają między nimi kłótnie, ani Rogalski, ani tym bardziej Lipski, delegat królewski, nie są w stanie utrzymać ich w posłuszeństwie. Na wieść o zbliżaniu się Rakoczego z znacznymi siłami całe bractwo podzielone na grupy, w zależności od sympatji do poszczególnych rotmistrzów, wraca do województwa krakowskiego, gdzie otrzymawszy należny żołd od Homanaya — co wraz z łupami stanowiło niemały pieniądz — „spada jak szarańcza, a mieli żołądki tak strawne, iż cokolwiek w komorach i gumnach zastali jak miotłą wymiótł". Nie na wiele się zdała Konstytucja sejmowa „Obostrzenie prawa na swawolniki", skoro nie było w kraju silnej władzy wykonawczej. Obywatele i posłowie ziemi krakowskiej tak pisali o tym do króla Zygmunta III:

„Przyszło nam tedy spolnym konsensem posłać do W. K. Mci Pana naszego Miłościwego instituto majorum i tej reverentiej, która jest W. K. Mci powinna, dosyć czyniąc, odniosły to utrapienie nasze, eo quo par est cultu, jako od wolnego nam za łaską bozą panującego Pana, dowiedzieć się dalszego nastąpienia, i cujus permissu ci ludzie tam nastąpili, prawa i wolności nasze, a w tych Majestatem W. K. M. decus et reverentiam pana i obrońcy naszego, nie lada jako naruszyli, i kto im z węgierskiem królestwem, tak dawny i potrzebny pokój lacessere rozkazał"?

Dochodzą do tego komplikacje dyplomatyczne. Bethlen Gabor, lennik sułtana, zwraca się do Stambułu ze skargami na dwulicowość Zygmunta. Wszak Polska jest w stanie pokoju z Portą.

Lisowczycy nieco onieśmieleni rozgłosem jaki wywołali zbierają się na „koło jeneralne" w Zmigrodzie i w Bohni, gdzie wybierają pułkownikiem Hieronima Kleczkowskiego, ucznia Lisowskiego.

BIAŁA GORA I CHOCIM

Cesarz znajdujący się nadal w ciężkich opałach ściąga skąd tylko się da wojska najemne za pieniądze dostarczane mu między innymi przez koalicję katolicką. Część subsydiów Filipa III Hiszpańskiego obrócono na ponowne wynajęcie Lisowczyków, którzy w cztery tysiące koni, pod dowództwem Kleczkowskiego, w lutym 1620, wyruszają przez Śląsk do Wiednia. Marsz ich był tak szybki, że po pięciu dniach znaleźli się pod murami stolicy cesarskiej, dokąd ich początkowo wpuścić nie chciano, nikt się bowiem tak rychło ich nie spodziewał, a prezencja tego wojska zbytniego nie wzbudzała zaufania.

Po wyjaśnieniach, Kleczkowski został przyjęty przez cesarza i wygłosił przed nim kwiecistą orację, w której ani się zająknął przy zdaniu „na zysk też nie łakomiśmy przetoż zdobyczy na nas nie znać". Lisowczycy rozłożyli się obozem w Enzerdorf nad Dunajem i gdy sobie wesoło poczynali w Wiedniu zaskoczył obóz w nocy, bez straży i przy pijatyce, pułkownik czeski Stampfel z wojskiem „zimowego" króla czeskiego Frederyka V. Tylko przytomność umysłu i odwaga rotmistrza Stanisława Strojnowskiego uratowała Lisowczyków od sromotnej klęski.

Bitwa pod Burgschleinitz daje im pole do rehabilitowania ich urażonej ambicji. Wojska cesarskie ponoszą klęskę, ale Lisowczycy ustalają swoją najwyższą reputację żołnierską. W bitwie tej ginie pułkownik Kleczkowski, dowództwo po nim obejmuje Stanisław Rusinowski. Uznanie cesarza za ich waleczność i usługi zmitygowane jest coprawda ciężką ręką Lisowczyków, od której cierpią strasznie jego poddani. Lisowczycy uważają wszystkich innowierców za wrogów, nie zważając na to, że wielu z nich należy do lojalnych zwolenników cesarza, palą, mordują i rabują, konkurując skutecznie z jurgieltnikami Wallensteina.

Niektórzy z protentanckich wielmożów w Dolnej i Górnej Austrii każą swoim ludziom nosić medaliki i różańce jako legitymację przed zakusami Lisowczyków, lecz podstęp wydał się wkrótce, a zresztą pobożność ich rzadko wytrzymywała próbę napotkania zasobnego klasztoru czy opactwa.

„Rzecz bardzo strojna było widzieć kiedy jeden konewek, flaszek itd. około siebie nawiązawszy gęś z gąsiętami jeszcze zieloniuśkimi do miasta zaganiając z pułkownikiem się elearskim z miasta jadącym spotkał. Drugi za nim ciele, kozę i owcę koniowi u ogona jak charty na smyczy uwiązawszy a pstrą koteczkę na ręku miasto zająca trzymając z łowów się wracał. Trzeci zaś trochę opodal za nim świnię tak że u ogona koniowi uwiązawszy, z kotłem na głowie a garncem mleka w lewej ręce za nimi leniwo doganiając wółki rozdartą pierzynę nakształt sakiew najukowanego, w której pierzy nie tak pospołu z pierzem było kilka połci słoniny i parę indyków".

Lisowczycy — zwani również Elearami (z węgierskiego Elu Jaro, naprzód idący, harcownik) działają zazwyczaj nie jednym zwartym oddziałem ale luźnymi grupami, co tym bardziej utrudnia kontrolę ich wybryków. Ginie ich bardzo wielu, zarówno w boju jak z ręki doprowadzonych do ostateczności sprzymierzeńców, których sposób wojowania w niczym się nie różnił od „Elearskiego'. Wieści o ich sukcesach i łupach ściągają z Polski licznych nowych ochotników. Poddani cesarscy protestują coraz gwałtowniej, co zmusza Zygmunta III do odżegnania się od wszelkiego popierania werbunku Lisowczyków ogłoszenia w Krakowie zakazu „zagranicznych wycieczek wojennych" usankcjonowanego surowymi karami.

Druzgocąca klęska Czechów i całego obozu Reformacji pod Białą Górą, 8 listopada 1620, do której przyczyniają się walnie Lisowczycy w trzy tysiące koni pod Rusinowskim brawurową szarżą na konnicę węgierską, zagraża zbyt wielu interesom hegemonją habsburską. To zwycięstwo jest właściwym wstępem do wojny trzydziestoletniej.

Na wiosnę 1621, w związku ze zbliżającą się kolejną wojną turecką, król odwołuje Lisowczyków do kraju. Dawny ich pułkownik, Rogalski, który nie brał udziału w wyprawie na ziemie cesarskie, zbiera ich parę chorągwi, które chlubnie giną bezmała doszczętnie pod Cecorą.

Reszta Lisowczyków, znajdujących się dotychczas zagranicą, dołącza pod Chocim, gdzie Chodkiewicz powierza im odcinek szańców, obok kozaków atamana Konaszewicza Sahajdacznego, jako formacji najbardziej im pokrewnej pod względem techniki wojennej. W obronie chocimskiego obozu wawrowego, w niezwykle ciężkich warunkach, spotęgowanych brakiem żywności i niesfornością wojska, Lisowczycy zbierają zasłużone i krwawo okupione laury. Po raz pierwszy i ostatni w swej historii walczą pieszo z za umocnień polowych.

ARTYKUŁY ELEARSKIE

Skuteczna obrona Chocimia doprowadza do układów z Turkami, co pozwala Lisowczykom, w maju 1622, na przyjęcie ponętnych propozycji cesarskich. Wyruszają w piętnaście chorągwi, około 3.800 koni, plus ciury, których było przeciętnie po czterech na każdego towarzysza, pod dowództwem Stanisława Strojnowskiego, w miejsce rannego pod Chocimem Rusinowskiego (pociskiem armatnim w piętę) i stają obozem w Kłatow, w Czechach, niedaleko granicy bawarskiej. Tamże na kole jeneralnym zostały opracowane „Artykuły Elearskie". Był to wyczerpujący wojskowy kodeks dyscyplinarny, z którego cytujemy kilka charakterystycznych artykułów:

II i III — Ktokolwiek o bluźnierstwo lub świętokradztwo był przed urzędem sądu wojskowego przekonany taki bez miłosierdzia ma być spalony a wszystko jego na kościół oddane.

VIII — O bunty w wojsku a osobliwie o rozerwanie wojska lub też na despekt starszyzny... nieposłuszeństwo.. gardłem ma być karany.

IX. — Ktoby w wojsku trwogę uczynił... gardłem ma być karany.

XI. — Na straż ktoby za rozkazaniem nie wyjechał... bąć też z konia zsiadłszy usnął, szubienicą ma być karany.

XIII. Ktoby swawolnie watahę podniósł, gardłem ma być karany.

XVII. Ktoby na pojedynek drugiego wyzywał, gardłem ma być karany.

XIX. Ktoby w posiedzeniu towarzyskim znaczną zwadę wszczął 50 złotych na kościół ma być karany.

XXIII. Szynkarze po wytrąbieniu hasła żadnego napoju przedawać nie mają, pod utraceniem towaru na Strażnika.

XXVI. Ktoby w spokojnych stanowiskach na gospodarza lub gospodynią niepotrzebnie fukał, albo jakie brzydkie hałasy czynił, 10 złotych, a jeżeli uderzył 20, na kościół odliczyć.

KŁOPOTY KROLA ZYGMUNTA

Nie na wiele się jednak zdały te groźne artykuły. Lisowczycy wkraczają do Palatynatu, odznaczają się przy zdobyciu Spiry, Wormacji, Heidelbergu i Manheimu. W lipcu 1622 przekraczają Ren, nieco poniżej Strasburga, parę ich oddziałów dochodzi aż do Szwajcarii. Trudno się wypowiedzieć do jakiego stopnia wierzyli że Lotaryngia (Lautring) to znaczy „ziemia luterska", ale poczynali sobie tam niezgorzej. Kardynał Richelieu zastanawia się czyby ich nie wynająć przeciwko własnym Hugonotom, lecz woli nie mieć na swoim terytorium sprzymierzeńców o podobnej reputacji. Cesarz zwołuje sejm do Regensburga, na co mu elektorzy i książęta Rzeszy odpowiadają że „wszystkie drogi od polskich kozaków niebezpieczne" i błagają go „aby wprzódy tych niewymownie ojczyznę trapiących z Niemiec odesłać raczył".

Z Wiednia przychodzi rozkaz cesarski aby Lisowczykom żołd wypłacić i do Polski odesłać. W drodze powrotnej opasają wesoło w Norymberdze, potem na Pragę, Głogów, nie bez licznych incydentów, ciągną do kraju, gdzie na wieść o ich zbliżaniu się wielkie larum się podniosło...

Król Zygmunt wysyła do nich swego dworzanina Paczanowskiego z następującym orędziem:

„Wszem wobec i każdego z osobna komu to wiedzieć należy, a mianowicie starszym, pułkownikom, rotmistrzom, porucznikom i wszystkiemu towarzystwu kup i gromad tych, które świeżo z Szląska wyszedłszy w księstwie oświecimskim i zatorskiem stanęli wiernie nam miłym łaskę naszą królewską. Doszło to z różnych miejsc do wiadomości naszej, że WW. MM. nie kontentując się tym jeszcze, iż mimo zakaz nasz i wszelkiej Rzptej, do państw sąsiedzkich na obcą służbę weszli; świeżo z tamtąd wyszedłszy: i koło granic koronnych się położywszy: wielkie szkody, bezprawia i gwałty czniliście i wielką liczbę bydła i innych korzyści, nawet i ludzi zabierając. Przeto... surowo rozkazując abyście się zarazem rozjechali i więcej sąsiadów zaczepiać nie ważyli..."

W 1623 Lisowczycy dają się ponownie skusić żołdem i łupem na ziemiach cesarskich oraz obietnicą Ferdynanda II, że potrafi dla nich wyjednać bezkarność u Zygmunta III. W maju 1624 zjawia się istotnie u króla poseł cesarski z interwencją na korzyść Strojnowskiego i Kalinowskiego, działających z Lisowczykami na Morawach, „tych marnotrawnych synów ojczyzny przez sejm bannitami i bezecnymi uznanymi".

W latach następnych, aż do końcowej fazy wojny trzydziestoletniej, spotykamy sporadycznie chorągwie Lisowczyków na służbie cesarskiej, między innymi pod rozkazami Wallensteina, w Niemczech, Austrii, Czechach, Węgrzech i aż w Lombardii nad jeziorem Como. Wzięli również udział w bitwie pod Lutzen 1632, w której poległ Gustaw Adolf.

Lisowczycy zyskali wielką sławę żołnierską, ale ściągnęli na Rzplitą tyle kłopotów dyplomatycznych i tyle wyrządzili krzywd, również Jej obywatelom, że w Pactach Conventach Władysława IV zostało zawarowane „że bez jej (Rzplitej) wiedzy i przyzwolenia żadnych wojsk zbierać i za granicę wyprowadzać nie będzie, ani kupami wywodzić nie pozwoli".

NAPISAŁ
JAN MEYSZTOWICZ

TYDZIEŃ KULTURALNY

DOROCZNE PUBLICZNE POSIEDZENIE POLSKIEJ AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI

W Krakowie dn. 25 bm. odbyło się doroczne publiczne posiedzenie Polskiej Akademii Umiejętności. Posiedzenie zagaił prezes PAU, prof. Kazimierz Nitsch.

Sprawozdanie z działalności PAU w roku 1948/49 złożył sekretarz generalny PAU prof. Dąbrowski. Na wstępie przypomniał on straty, jakie poniosła Polska Akademia Umiejętności z powodu śmierci kilku wybitnych naukowców, po czym omówił wyniki prac PAU w roku ubiegłym. Prof. Dąbrowski stwierdził, że w wielu dziedzinach nauki uzyskano znaczne osiągnięcia. „Na wyniki te — powiedział prof. Dąbrowski — składa się prócz pracy i wysiłków członków i współpracowników Akademii także pomoc materialna, jaką otrzymuje Akademia od Rządu R. P.“.

Polska Akademia Umiejętności prowadziła w ciągu ub. roku działalność naukową i organizacyjną, związaną z jubileuszem 75-lecia istnienia PAU. W r. 1948 Akademia opublikowała łącznie 149 dzieł i rozpraw, obejmujących 1.050 arkuszy druku.

Po odczycie prof. Uniwersytetu Warszawskiego, prof. dra Czesława Białobrzeskiego „Fizyka przed pół wiekiem, a dziś“ nastąpiło ogłoszenie uchwał Walnego Zgromadzenia PAU o wyborze nowych członków Akademii i przyznaniu tegorocznych nagród naukowych.

Na Wydziale Filologicznym na czynnego członka obrano profesora Uniwersytetu Warszawskiego Juliana Krzyżanowskiego, członkami korespondentami zostali: prof. Stanisław Lorentz i profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Tadeusz Milewski.

Na Wydziale Historyczno - Filozoficznym członkowie czynni: prof. U. J. Roman Ingarden i prof. Uniwersytetu Poznańskiego Zygmunt Wojciechowski oraz członkowie korespondenci: profesor Uniwersytetu Lubelskiego Leon Białkowski, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego Marian Friedberg, prof. Uniwersytetu Warszawskiego Tadeusz Manteuffel.

Na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym członek-korespondent, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego Maria Skalińska.

Na Wydziale Lekarskim — członkowie korespondenci prof. Stefan Bagiński, prof. Akademii Lekarskiej w Gdańsku Stanisław Miller, docent U. W. Stanisław Konopka, docent U. W. Józef Laskowski, prof. U. J. Bruno Nowakowski, prof. Akademii Lekarskiej w Gdańsku Michał Reicher.

Walne Zgromadzenie PAU przyznało następujące nagrody naukowe: na Wydziale Filologicznym prof. dr Tadeuszowi Milewskiemu za dzieło „Zarys językoznawstwa ogólnego“, prof. dr T. Dobrowolskiemu za dzieło „Polskie malarstwo portretowe“, prof. dr W. Tatarkiewiczowi za dzieło „O szczęściu“, prof. dr K. Tymieniec kiemu za dzieło „Dzieje Niemiec na początku ery nowożytnej“, prof. dr R. Taubenschlagowi za dzieło „The law of the Greco — Roman Egypt“, dr M. Klimaszewskiemu za dzieło „Polskie Karpaty zachodnie w okresie dyluwialnym“, prof. dr W. Orłowskiemu za dzieło „Nauka o chorobach wewnętrznych“, oraz prof. dr D. Szynkiewiczowi za dzieło „Studia fitogeograficzne“.

NOWE KADETRY W SZKOŁACH AKADEMICKICH

OSTATNI numer Dziennika Ustaw R. P. zamieszcza rozporządzenie min. Oświaty w sprawie utworzenia i zwinięcia kadetr w niektórych szkołach akademickich.

Tworzy się następujące katedry wraz z połączonymi z nimi zakładami naukowymi:

Na Uniwersytecie Warszawskim: na Wydziale Humanistycznym — katedrę historii gospodarczo - społecznej średniowiecza; na Wydz. Prawa — katedrę kryminologii.

Na Uniwersytecie Wrocławskim. na Wydziale Lekarskim — katedrę farmakognozji, na Wydziale Rolnictwa — katedrę warzywnictwa; na Wydziale Prawno - Administracyjnym — katedrę statystyki; na Wydziale Humanistycznym — katedrę historii i literatury czeskiej.

Na Politechnice Warszawskiej: na Wydz. Inżynierii — katedrę konstrukcji stalowych; na Wydziale Chemicznym — katedrę chemii organicznej II; na Wydziale Mechanicznym: katedrę maszyn budowlanych i drogowych, katedrę organizacji i bezpieczeństwa oraz katedrę hydro- i aeromechaniki; na Wydz. Geodezyjnym — katedrę gleboznawstwa; na Wydz. Architektury — katedrę budownictwa zakładów leczniczych; na Wydziale Elektrycznym — katedrę budowy elektrycznych przyrządów pomiarowych.

Na Politechnice Śląskiej: na Wydz. Inżynieryjno - Budowlanym — katedrę mechaniki teoretycznej i wytrzymałości materiałów; na Wydz. Elektrycznym: katedrę podstaw teletechniki, katedrę sieci elektrycznych oraz katedrę budowy maszyn elektrycznych; na Wydz. Chemicznym — katedrę elektrochemii technicznej i elektrometalurgii.

Na Politechnice Łódzkiej: na Wydziale Włókienniczym: katedrę technologii surowców włókienniczych sztucznych i syntetycznych, katedrę wykończalnictwa przędzy i tkanin oraz katedrę części maszyn i konstrukcji maszyn włókienniczych.

Na Politechnice Gdańskiej: na Wydziale Mechanicznym: katedrę technologii materiałów maszynowych; na Wydziale Inżynierii Lądowej: katedrę geologii.

Na Politechnice Wrocławskiej: na Wydziale Budownictwa: katedrę statystyki budowli, katedrę budownictwa przemysłowego, katedrę budownictwa stalowego, katedrę budowy mostów II oraz katedrę techniki sanitarnej; na Wydziale Mechaniczno - Elektrotechnicznym: katedrę budowy obrabiarek, katedrę urządzeń radiotechnicznych oraz katedrę aerodynamiki.

W myśl rozporządzenia ministra Oświaty zwija się katedry geologii i surowców na Politechnice Gdańskiej oraz katedrę hodowli pszczół i jedwabników na Uniwersytecie Warszawskim.

PREMIERA OPERY CZAJKOWSKIEGO „EUGENIUSZ ONIEGIN“

W dn. 25 bm. odbyła się w Operze Warszawskiej premiera opery Czajkowskiego „Eugeniusz Oniegin“.

Wystawienie tego arcydzieła muzyki operowej, opartego na tekście Puszkina, wiąże się z obchodem 150 rocznicy urodzin genialnego poety.

***

Dział Operowy Filharmonii Stołecznej, który rozpoczął swą działalność w dn. 10.II. rb., wystawił w tym sezonie 3 opery, a mianowicie: „Wesele Figara“ W. A. Mozarta, wg tekstu polskiego A. Rymkiewicza, pod kier. muzycznym Z. Latoszewskiego, w reżyserii J. Muclingra, w oprawie dekoracyjnej J. Hawryłkiewicza, „Straszny Dwór“ Moniuszki pod kier. muzycznym M. Mierzejewskiego, w reżyserii W. Bregy, z dekoracjami wg projektu Z. Szpingera, kostiumami K. Frycza, oraz graną obecnie operę „Eugeniusz Oniegin“ Czajkowskiego, według tekstu polskiego K. Wroczyńskiego, pod kier. muzycznym W. Bierdiajewa, w reżyserii W. Bregy, w oprawie dekoracyjnej T. Błażejewskiego.

Zainteresowanie operą wykazała nie tylko Warszawa, ale i prowincja, skąd przybywały na przedstawienia specjalnie zorganizowane wycieczki.

Do największych trudności, z jakimi walczyć musi Dział Operowy Filharmonii Stołecznej, należy niewątpliwie niemożność pełnego wykorzystania sali i konieczność oddawania jej do dyspozycji innych instytucji. W toku sezonu musiano odwołać szereg prób i przedstawień na korzyść imprez Roku Chopinowskiego, Festiwalu Muzyki Ludowej, koncertów itd.

ZEBRANIE PEN-CLUBU POLSKIEGO

DN. 24 bm. odbyło się w Świetlicy ZAIKS zebranie Pen-Clubu Polskiego, poświęcone zmarłemu niedawno znakomitemu pisarzowi belgijskiemu Maurycemu Maeterlinckowi, prezesowi Międzynarodowego Pen-Clubu.

Po słowie wstępnym prezesa Pen-Clubu Polskiego Jana Parandowskiego, odczyt o Maeterlincku wygłosił Pierre Moisy, dyrektor Instytutu Francuskiego w Warszawie.

ŚWIĘTO PIEŚNI NA ŚLĄSKU

Z inicjatywy Kuratorium Szkolnego Okręgu Śląskiego urządzono na obszarze Województwa doroczny obchód Święta Pieśni, mający na celu szerzenie kultury muzycznej i popularyzację pieśni.

Szczególnie imponujący przebieg miał obchód Święta Pieśni w Katowicach, gdzie w występach na Placu Inwalidów wzięła udział blisko 14-tysięczna rzesza młodzieży katowickich szkół podstawowych ogólnokształcących i średnich zawodowych.

PABLO NERUDA W WARSZAWIE

DN. 29 bm. przybył specjalnym samolotem z Moskwy do Warszawy pisarz Ameryki Południowej, Pablo Neruda wraz z małżonką.

Uroczystości Chopinowskie

ROK CHOPINOWSKI 1949

Ambasador RP w Londynie Jerzy Michałowski dokonał odsłonięcia tablicy pamiątkowej ku czci Fryderyka Chopina. Tablica wmurowana została w ścianie domu przy Eaton Place 99, w którym 101 lat temu — 23 czerwca 1848 r. Chopin koncertował po raz pierwszy w czasie swego pobytu w Londynie.

Koncert ten był wówczas jednym z największych wydarzeń artystycznych Londynu.

Ambasador Michałowski w przemówieniu wygłoszonym po dokonaniu odsłonięcia tablicy pamiątkowej, podkreślił znaczenie dzieła Chopina dla kultury całego świata i nawiązał do odbywającego się obecnie Roku Chopinowskiego.

W uroczystości wzięli udział: lord major dzielnicy Chelsea, szereg osobistości z bryt. świata muzycznego i artystycznego, przedstawiciele władz polskich oraz Instytutu Polskiego w Londynie z którego inicjatywy dokonano wmurowania tablicy.

Po uroczystości wszyscy obecni zaproszeni zostali przez obecną właścicielkę domu panią Bower do obejrzenia salonu, w którym koncertował Chopin. W salonie tym pianistka polska Natalia Karpf, odegrała te same utwory, które wykonał Chopin sto jeden lat temu.

Wieczorem tego samego dnia w sali koncertowej BBC odbył się koncert chopinowski urządzony dla uczczenia rocznicy pobytu Chopina w Londynie. Wykonawcą był znakomity pianista brytyjski Solomon. Na koncercie, który zgromadził tłumy publiczności, obecny był ambasador RP Michałowski. Licznie była reprezentowana kolonia polska.

Koncert transmitowany był przez Polskie Radio oraz stacje norweskie.

ZNACZKI Z PODOBIZNĄ CHOPINA

W setną rocznicę śmierci Fryderyka Chopina poczta czechosłowacka wyda dwa okolicznościowe znaczki z podobizną kompozytora, wartość 3 i 8 koron. Na znaczkach przedstawiony będzie również gmach konserwatorium warszawskiego.

KONCERT CHOPINOWSKI W BUKARESZCIE

Staraniem Komitetu Chopinowskiego w Bukareszcie odbył się koncert poświęcony twórczości wielkiego kompozytora polskiego. Na koncercie byli obecni członkowie rządu, przedstawiciele korpusu dyplomatycznego, w tym cały personel poselstwa polskiego w Bukareszcie, przedstawiciele życia kulturalnego i organizacji społecznych.

W imieniu Komitetu przemówił kompozytor Zeno Vancea, który zobrazował życie i twórczość Chopina. Koncert ten był jednym z serii uroczystych wieczorów, które odbędą się w Rumunii dla uczczenia pamięci genialnego muzyka.

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU NA POMNIK CHOPINA W KRAKOWIE

W Krakowie nastąpiło rozstrzygnięcie konkursu rozpisanego przez woj. komitet „Roku Chopinowskiego“ na projekt pomnika Chopina, który ma stanąć na jednym z placów w mieście.

Sąd konkursowy pod przewodnictwem wiceprez. E. Torra postanowił nie przyznać I nagrody z tym, że odnośną kwotę rozdzielono na sześć równorzędnych wyróżnień po 75 tys. zł.

Drugą nagrodę w kwocie 250 tys. zł przyznano za pracę, której autorami są: art. rzeźbiarz Duszenko Franciszek, Leszek Verosey oraz inż. arch. Adam Haupt z Sopot.

Trzecią nagrodę w wys. 150 tys. zł otrzymali za wspólną pracę prof. Stanisław Rzecki i inż. arch. Jan Krug z Krakowa.

Czwartą nagrodę w wys. 150 tys. zł przyznano za pracę, której autorami są: Józef Różycki, Józef Starzycki i Roman Olszewski (Zakopane).

Ponadto sąd konkursowy wyróżnił szereg nadesłanych prac oraz przyznał zwroty kosztów w wys. 50 tys. zł.

Wystawa wszystkich prac, w ilości 47, otwarta została w dniu 24 czerwca w Bibliotece Jagiellońskiej.

Świetna powieść
wielkiego pisarza katolickiego
GEORGES BERNANOS'A
POD SŁOŃCEM SZATANA
Wyd. przez Sp. Wyd. „Pax“
Zamawiać można za pośrednictwem adm. „DZIŚ i JUTRO“ wpłacając na konto PKO I-8515 lub przekazem pocztowym zł 950,— za egz.

„TRZY SIOSTRY" — CZECHOWA

(Gościnne występy teatru krakowskiego w Warszawie).

W czasie kiedy Tarełkin zeznał w śledztwie, iż ma obok siebie tysiące wspólników zbrodni krwiopijstwa, poniewierania godnością ludzką, na świat przyszedł (1860) Antoni Czechow.

Nie chcę tu zajmować się porównywaniem wartości artystycznych dzieła Suchowo-Kobylina i Czechowa, uczyniła to już za mnie historia, oddając więcej miejsca na swych kartach autorowi „Wiśniowego Sadu". Nasuwa się jednak nie tylko okazja, ale i konieczność zestawienia wartości społecznej „Śmierci Tarełkina" i „Trzech Sióstr" jako dzieł przygotowujących rewolucję, a więc dzieł o określonym charakterze ideowym.

Zagadnienie nie nastręcza poważniejszych trudności. Decyduje tu świadomość autora. Suchowo-Kobylin nienawidzi świata Tarełkinów, maluje go ze złośliwą pasją gniewu, który zawsze przecież wyolbrzymia fakty. Tarełkin zdaje sobie sprawę z tego, że otoczenie jego już za życia czuć śmierdzącą rybą. Suchowo-Kobylin wie, iż w tym stanie rzeczy musi stać się coś co zmieni panujące stosunki. Jest jednak meteorologiem z przypadku: nie wie jaki będzie kierunek wichru, który przyjdzie. I nie widzi oczyma wyobraźni pogody, która zapanuje po burzy, gubi się przeto w jakimś przedsartrowskim pesymiźmie, jak każdy człowiek, który nie może znaleźć choćby wyrozumowanego, teoretycznego wyjścia z beznadziejnej pozornie sytuacji.

Czechow, twórca bardziej dojrzały społecznie, pisarz, który chwyta się pióra nie dla zaspokojenia zemsty, ale z wewnętrznego nakazu artysty, przyjmuje wobec otoczenia postawę obiektywną, postawę obserwatora.

W „Śmierci Tarełkina", po scenie błąka się widmo pokrzywdzonego autora, w „Trzech Siostrach" nie widzi się Czechowa — bohaterzy sztuki stworzeni na wzór i podobieństwo tych co żyją w najbliższym sąsiedztwie pozostawieni są sami sobie. Czechow nie prowadzi nikogo za rękę, pozwala wszystkim żyć bez przewodnika. Stąd prawda „Trzech Sióstr" w przeciwieństwie do karykatury „Śmierci Tarełkina". Stosunek autora do dzieła oparty jest na bezwzględnej prawdzie, wolny jest więc od nienawiści, ale wolny również od sympatii. Czechow nie kładzie akcentu potępienia wiedząc, że poszczególne postacie sztuki potępiają się same własnym życiem, własnym sposobem myślenia. Unika również Czechow jakiejkolwiek próby udzielenia pomocy bohaterom, nie wskazuje im drogi wyjścia z kryzysu. Jeśli chcą, jeśli potrafią niech szukają tej furtki sami.

Tych kilka cech wystarczy by nabrać przekonania, że realizm „Trzech Sióstr" stał znacznie wyżej od głośniej wprawdzie i wyraźniej wypowiedzianego, ale bardziej za to przypadkowego buntu „Śmierci Tarełkina".

**
*

Ludzie ze sztuki Czechowa, ludzie ze ściśle określonej grupy społecznej przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku nie wiedzą poco żyją. Tu tkwi przyczyna, dla której nie potrafią być oni naprawdę szczęśliwi, ani naprawdę nieszczęśliwi. Chodzą po ziemi ale nie widzą ani czują jej pod stopami. Patrzą w niebo, ale nie potrafią tam dostrzec nic prócz obojętnych zjawisk fizycznych. Wiele poprzednich pokoleń przygotowywało bardzo systematycznie tę próżnię, w której będzie tak trudno oddychać. Całe towarzystwo salonu „Trzech Sióstr" jest zagubione w dziwnej pustyni, nad którą nie świeci żadna gwiazda. Nie jest zbyt ciemno, by siebie nawzajem i samego siebie nie dostrzegać — nie jest tak widno, by zobaczyć coś więcej przed sobą niż zawiły problem, iż „jedną ręką można podnieść najwyżej półtora puda, a dwoma pięć". Ale i ten dylemat Solonyja przestaje najbliższe otoczenie interesować wobec tezy Czebutykina, któremu jest zawsze „najzupełniej wszystko jedno".

Prowincjonalne miasto zaskorupiało w ideowej martwocie. Mieszkańcy szarpią się w tej skorupie, która im bardzo przeszkadza, ale jest zbyt gruba, by ją przerwać rozprostowywaniem ramion przy ziewaniu.

Przez drobne szczeliny domostw, w których żyją karły, przenikają echa wielkoświatowe. I te nikłe odpryski myślowe innych ludzi chwytane są tu jak ostatnie, przysłowiowe, deski ratunku. Młoda Iryna zda się nagle odkrywa prawdę życia: „Ja już wszystko rozumiem. Człowiek powinien pracować w pocie czoła, bez względu na to kim jest i tylko w tym tkwi sens i cel jego życia, jego szczęścia, jego zachwytów".

Ratunek oczywiście musi okazać się zawodny. Praca traktowana jako środek do wypełnienia czasu, praca pozbawiona całej swej głębokiej i radosnej treści nie może przynieść nie tylko zapowiadanego szczęścia, ale nawet odrobiny zadowolenia. A na to, by treść tego pojęcia dotarła do umysłu Iryny

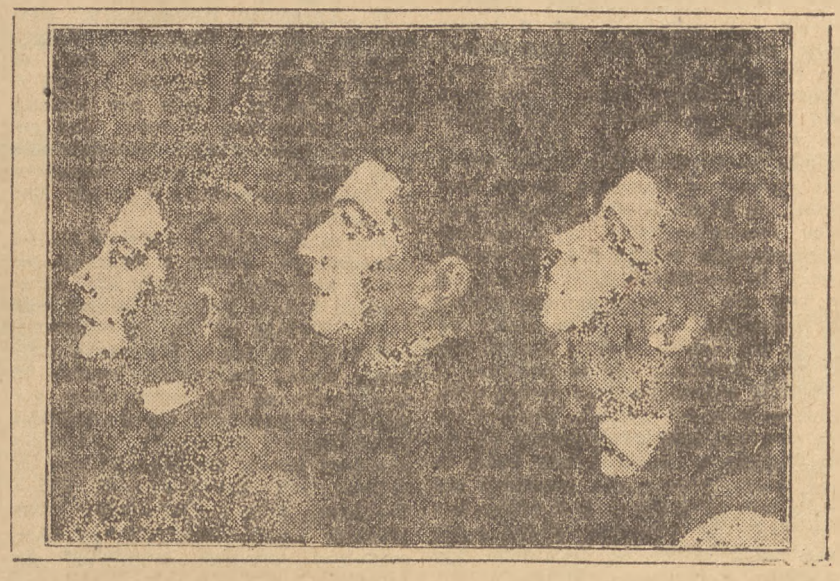

trzeba będzie jeszcze dość długo czekać.

Jest duszno jak przed burzą. Czuć ją w powietrzu. Mówi Tuzenbach: „Nadchodzi czas... Nadciąga chmurna siła, zbliża się potężna, orzeźwiająca burza, już nadciąga, już jest blisko i zdmuchnie z nas niebawem — lenistwo, egoizm, niechęć do pracy, zgniłą nudę. Będę i ja pracować, a za jakieś dwadzieścia pięć do trzydziestu lat pracować będzie już każdy człowiek, każdy!"

Z której strony przyjdzie burza — nie wiadomo. Niechce się więc nikomu wyjść na jej spotkanie. Cała ta kołtuneria, cały ten świat istot z ciałem a bez duszy, świat ludzi bez kręgosłupa, świat lunatyków woli czekać, na to co przyjdzie — „w lenistwie, egoizmie, niechęci do pracy i zgniłej nudzie".

„Trzy Siostry" są prawdziwym, realistycznym obrazem tego rzadko jeszcze świadomego wyczekiwania. Na ogół jest ono raczej bezwiedne, bardzo gnuśne, podobne do tego w jakim tkwi niedźwiedź prawem natury pogrążony w głęboki zimowy sen: wiosna obudzi go, ale stanie się bez jego woli, bez jego wiedzy, bez jego wysiłku.

Największą zaletą wspomnianego spektaklu „Trzech Sióstr" szczęśliwą decyzją przywiezionego z Krakowa do Warszawy, jest wierność z jaką odtworzony został na scenie nastrój sztuki. Nie ma tu karykatury, nie ma niebezpiecznego przeciągnięcia struny w kierunku pogłębienia duszności — jest prawda. Prawda Czechowa, prawda historyczna.

I tak tylko wolno było tę sztukę pokazać.

Karykatura odebrałaby spektaklowi cały jego sens społeczny. Mały, krótkowzroczny realizm przeniósłby widownię w kręgi nikomu niepotrzebnego pseudopsychologizmu. Przecież na dobrą sprawę nie ma wielkiego sensu w zgłębianiu „kłopotów" Maszy, tęskne wołania Iryny za Moskwą są dla nas zbyt małe, zbyt naiwne byśmy je mogli traktować serio, byśmy je włączali do kategorii prawdziwych, ludzkich przeżyć. Szło o coś całkiem innego. O to by z jakiejś niezbyt oddalonej gwiazdy spojrzeć na kulę ziemską cofniętą w czasie i, przyjrzawszy się dokładnie, przyjść do wniosku: to się musiało zawalić. Ten cel został osiągnięty.

**
*

Dąbrowski nie po raz pierwszy dał dowód dużej wnikliwości w inscenizowaniu sztuk z tzw. wielkiego repertuaru. Pamiętamy przemyślaną robotę „Wieczoru Trzech Króli", pamiętamy spokojną, logiczną i objektywną koncepcję „Klątwy", pamiętamy pełne rozmachu „Owcze źródło". „Trzy Siostry" są jednak największym chyba z dotychczasowych osiągnięć dyrektora scen krakowskich. Tu bowiem właściwie pojęte i zrealizowane zostały oba zasadnicze postulaty, jakie współczesność dyktuje artyście: należy tworzyć waną koncepcję wpoić w duży zespół ra, który w ciągu trzymiesięcznego okresu prób zdołał dokładnie wypracowykonawców. Nie umniejsza to oczywiście zupełnie zasług aktorów. Jest najwyższą sztuką w rzemiośle aktorskim zrozumieć intencję inscenizatora i dojść do tego, na drodze analizy, by stała się ona własną, szczerze własną. Jakże często widzi się na scenie postacie w źle skrojonych frakach, w rolach których takie, a nie inne wykonanie możliwie najlepsze dzieło sztuki, któreby było pożyteczne dla możliwie największej liczby odbiorców.

**
*

Sukces inscenizacyjny Dąbrowskiego idzie w parze ze zwycięstwem reżyse-

następuje z widocznym dla nieco wnikliwszej części publiczności oporem wewnętrznym aktora. W „Trzech Siostrach" nie dostrzegaliśmy (z jednym maleńkim wyjątkiem) poważniejszych konfliktów między inscenizatorem a aktorami. Dlatego spektakl jest jednolity, co nie jest zdarzeniem zbyt często notowanym w kronikach naszego teatru.

**
*

Po tej próbie syntezy należy przynajmniej w kilku słowach wyróżnić wykonawców, którzy wykroczyli ponad poziom ogólny. Mam tu na myśli Kazimierza Opalińskiego, Zofię Niwińską, Halinę Mikołajską, Zofię Rysiównę, Celinę Niedźwiedzką i Tadeusza Kondrata.

Podejrzewam, że sam Czechow, tworząc postać Czebutykina, mimowoli dokonał drobnego odstępstwa od zasady bezwzględnego obiektywizmu i obdarzył (może ze względu na wiek) tego lekarza wojskowego pewną dozą sympatii. Nie bardzo jest za co, ale przecież i nasz stosunek do tej sylwetki, tak pięknie odtworzonej przez Kazimierza Opalińskiego, ma w sobie ileś tam uncji sentymentu. Nawet wówczas, kiedy mówi swoje częste „wszystko jedno". Opaliński zasłużył w pełni na brawa jakie zebrał przy podniesionej kurtynie.

Zofia Niwińska przyzwyczaiła się już zapewne do, zawsze zasłużonych, pozytywnych opinii krytyki. Nikogo chyba nie zaskoczył fakt, iż kreowana przez nią postać Natalii Iwanowny wybijała się na czoło bohaterów sztuki. A doprowadzić do tego nie było łatwo— w tej właśnie roli kryły się największe niebezpieczeństwa wejścia na błędną drogę t. zw. groteski. Trzeba było dużego wyczucia, by te niebezpieczeństwa wyminąć.

Talent Haliny Mikołajskiej rozwija się z sezonu na sezon w sposób zupełnie wyraźny, a dla obserwatora radosny. Bez przesady można już dziś mówić o dojrzałości artystycznej odtwórczyni trudnej roli Iryny.

Zofię Rysiównę pamiętamy i z „Klątwy" i z „Owczego Źródła". W „Trzech Siostrach" (ze względów dydaktycznych trzeba i to powiedzieć) ta zdolna aktorka niezupełnie trafnie uchwyciła rolę Maszy. „Tragedie" małomieszczanki" przeżywane były zbyt serio. Daleko Maszy do Racheli z „Wesela". Był to błąd koncepcyjny, ale sposób zrealizowania przyjętych założeń bardzo dobry, godny uznania.

Celina Niedźwiedzka z pięknym umiarem artystycznym przekazała nam postać Olgi, mającej z trzech sióstr najwięcej nie tyle rzetelnie pojętego doświadczenia, ile mechanicznej wprawy życiowej.

Tadeusz Kondrat — Tuzenbach, raz jeszcze (po „Ich Czworo" — ach jakie dawne czasy) udowodnił, że czuje się dobrze nie tylko w rolach „komicznych".

Pozostali wykonawcy (Burnatowicz, Solarski, Szymański, Fulde, Cebulski, Sheybal, Białkowski, Ordężanka) godnie reprezentowali cieszący się w całym kraju jak najlepszą opinią Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie.

**
*

Oddzielne wyrazy uznania należą się Andrzejowi Stopce za piękne, pełne wymowy, trafne w stylu i wyrazie artystycznym dekoracje do tego pamiętnego spektaklu.

Jerzy Artemski

Czytajcie

„Słowo Powszechne"

Handel żywym towarem

Skojarzenie... Jeden z ciekawszych i mniej zbadanych przejawów nieskrępowanej myśli ludzkiej. Dziwne bywają skojarzenia. Jednemu z mych znajomych — młodemu poecie i literatowi—wiersze jednego z przodujących „awangardzistów" nasuwają nieprzeparcie na myśl bibułę, oblaną... pomidorowym sosem. Zupełnie mimo woli nasuwa mu się to tak odważne jak i nieumotywowane porównanie.

Mnie natomiast nasuwają się natrętnie na słowa: „handel żywym towarem" — nie, nie kodeks karny, proszę państwa i nie statek z murzynami, nie sala sądowa!... — po prostu zmienna pogoda wiosenna i mała dziewczynka z bajki. Bo — wiosna to marzec; od marca do kawiarni Marca bardzo prosta droga. Dziewczynka z bajki to Kopciuszek; od Kopciuszka do kawiarni „Kopciuszek" — bardzo prosta droga. A od tych kawiarni do handlu żywym towarem droga jeszcze prostsza, — tam to ma siedzibę g i e ł d a a k t o r s k a. A za to nic innego jak handel żywym towarem na małą (czy małą?) skalę.

Między aktorami mówi się: „zaangażowałem się tu i tu, otrzymywać będę gażę taką i taką" (nb. jeśli aktor poda jakąś sumę to trzeba ją podzielić przez dwa i odjąć 6 tys., wtedy „gażę" będzie można uważać w przybliżeniu za prawdziwą). Nie mówi się jednak: „za ile on się zaangażował", a „za ile się sprzedał", „o! jego trudno za byle kilka złotych kupić". Tak mówi się i tak, co gorsza, trafia się kilku słowy w sedno zagadnienia.

Niedawno usłyszałem takie zdanie od znajomego aktora: „angażowanie się do teatru jest u p o k a r z a j ą c e. Upokarza człowieczeństwo i dobry smak". Nie ma w tym odrobiny przesady. Przy angażowaniu się niejednokrotnie, żeby nie powiedzieć — przeważnie, większą rolę gra szczęście i umiejętność „sprzedania się" niż zdolności; elokwencja, pilność wygrywania osobistych znajomości i stosunków (niekoniecznie osobistych) niż znajomość pracy.

A atmosfera w jakiej się ten akt kupna — sprzedaży dokonywa!

„Słuchaj, czy znasz tego Iksa, co tam siedzi pod ścianą. On podobno zna brata dyrektora X..."

„Czy jesteś dobrze z tą blondyną, no, tą przy trzecim stoliku na prawo, co to teraz z Tym... tego..., podobno jej pierwszy mąż jest szwagrem ciotki dyrektora Y, przedstaw mnie jej..."

Dodajmy do tego niezdrową atmosferę nerwowości, podniecenia, oparów czarnej kawy (oby tylko!), przesiadanie się od stolika do stolika, ku wiecznemu utrapieniu kelnerek, telefony, tajemniczość bezuzasadnioną, tak cechującą aktorów; dodajmy targi o cenę sprzedażną, licytowanie się w wychwalaniu rzekomych zasług i — piekiełkowate bagienko czy, jak wolicie, bagienkowate piekiełko, gotowe...

Czy tak być powinno? Pytanie retoryczne, nie wymaga odpowiedzi.

Czy tak być musi? Chyba nie. Chyba już czas, żeby tę sprawę jakoś uregulować. Istnieje dużo wyjść z tej niezdrowej sytuacji. Zagranicą np. są zorganizowane agencje, w których każdy aktor ma swoją teczkę a w niej — opinie reżyserów, spis ról jakie grywał, wycinki prasowe i t. p. Dyrektor teatru komunikuje się z agencjami i tą drogą aktora angażuje. Na jaką sumę? Otóż to: U nas sprawa ta jest uregulowana w konwencji ZASP (Związku Artystów Scen Polskich): w zależności od stopnia związkowego (prawo współpracy, aspirant kandydat, członek rzeczywisty), ilości wysłużonych lat i t. d. są przewidziane pewne stawki płac: minimalne i maksymalne. Zdawałoby się — trudność rozstrzygnięta. Tak, tylko — drobny szkopuł: ten punkt konwencji jest absolutnie ale to absolutnie nie przestrzegany. Ceny na rynku aktorskim podlegają prawom popytu i podazy a nie konwencji. Haussa na mężczyzn — i młody aspirant ma więcej niż wysłużona stara aktorka. A konwencja — ha, ha, ha! nie bądźmy naiwni. Ale — bądźmy stanowczy. Jeśli coś obowiązuje, to obowiązuje. Dura lex sed lex, a nie „każdy fruwa jak może, obywatelu redaktorze"...

ZASP znajduje się obecnie w stadium likwidacji. Nowy Związek to ZPSiK (Związek Pracowników Sztuki i Kultury). Niechże on przejmie dobre tradycje ZASP-u, a nie przejmuje złych. Niechhże zlikwiduje ten upokarzający kawiarniany handelek. XX wiek, proszę państwa. Handel żywym towarem stanowi przestępstwo prawa międzynarodowego, a tu tymczasem — pod bokiem, w kawiarni, w biały dzień... Nie mała rzecz — a wstyd!...

Takie to, szanowni czytelnicy, miewam skojarzenia...

Wszystko przez tę małą dziewczynkę z bajki. I przez tę zmienną pogodę wiosenną.

Dziwne bywają skojarzenia— nieprawdaż?

res.

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

BRACIA KOCHANY.

Zwracając się znowu do kochanej Redakcji ruwnież i do Was kochany bracia Polaci któriszie po dużej przerwie z nowu zrobiły dla mnie wielką radoszcz powodem tego co przysłaliszcie Nr. 22(184) naszego drogiego tygodnika „Dziś i Jutro". Wiele dziękuje.

Proszę Was o ile możecie znajscz w jaky sposób mób by przesłacz zapłatę odpowjedziecę mi.

O ile i to ni będzie można proszę Wasz brateski wisiłajcie pismo i na dalej a przejdą joś możliwoszci zapłaty.

Pismo jest bardzo cenne i kiedi było by w języku Chorwackim wierzę że znaśło b ywiele czytelników.

Bardzo proszę odpowiedź na owo że widzał hym co mam robycz i jak i wktóry sposób nadal będzie odtrzimało nasego kochanego gościa niedzielnego „Dziś i Jutro".

Jeszcze raz dziękuje.

Bóg zapłaci.

Vucaui 23.VI.1949.

Wasz
Antoni Dijakovic

Do Redakcji „Dziś i Jutro"

W związku z artykułem p. Kętrzyńskiego p. t. „Sprawa Robotnicza, a idea Narodowa" (nr 20 z dn. 22.V.49) przesyłam następujące uwagi.

Na początku artykułu znajduję zdanie: „imperializm niemiecki i japoński uległ nie tylko koalicji wielkich broniących się mocarstw, lecz i przede wszystkim (podkreślenie moje) rozpaczliwemu oporowi podbitych narodów".

Zdanie to wprawdzie nie ma bezpośredniego związku z tematem artykułu, nie mniej jednak nie można pozostawić je bez sprostowania — do tego stopnia sprzeczne jest z prawdą historyczną. Dla każdego choć troszkę obeznanego z dziejami ostatniej wojny jest oczywiste, że o klęsce „Osi" zdecydowały dwa fakty: 1) wojna Niemiec z Rosją, 2) wystąpienie Ameryki. Gdyby Rosja i Ameryka nie wzięły w wojnie udziału, gdyby, co więcej, W. Brytania wycofała się z niej — to wszystkie ruchy oporu nie sprawiłyby Niemcom innego kłopotu, niż troska o wytrzymałość pieców krematoryjnych, a Himlerowi dostarczyłyby wrażeń nie tyle wojennych, co — myśliwskich. I nie ma w tym nic dziwnego ani szczególnie upokarzającego. Technika dzisiejsza ma to do siebie, że służy niemal wyłącznie państwu, nie jednostkom, i pomnaża znacznie więcej potęgę wielkich państw, niż małych. Wskutek tego powstaje taka dysproporcja sił, jakiej nigdy w dziejach nie było; ta też nigdy ujarzmianie narodów nie było łatwiejsze niż dziś, a próby wyzwalania się własnymi siłami nigdy bardziej beznadziejne. Co innego, gdy państwo z powodów moralnych czy innych, nie chce ze swej przewagi materialnej korzystać i samo sobie ręce zawiązuje. Ale od takich skrupułów i względów III Rzesza była wolna.

Wydaje mi się, że należy unikać wygłaszania tego rodzaju zdań, jak zacytowane, chociażby miały nawet służyć do podkreślenia i poparcia tez najsłuszniejszych. W ten sposób bowiem rodzą się łatwo legendy, przyjmowane po tym bezkrytycznie przez ogół. Nasuwa się tu porównanie, z legendą legionową, która przybrała w końcu postać twierdzenia, jakoby to I Brygada wyzwoliła Polskę z pod jarzma trzech cesarzów. Powiedział ktoś, że dla legionowych historyków bitwa pod Mołotkowem była ważniejsza od bitwy pod Verdun. W takich poglądach tkwiło u podstaw lekceważenie, z jakim odnoszono się u nas do przeciwnika w 1939 r. W tym właśnie tkwi owa zaściankowość, o której ostatnio tyle pisano.

Lucjan Nowak

Jasło — czerwiec 1949

PANIE REDAKTORZE

Wydana ostatnio przez Spółkę Wydawniczą „Pax" książka Bernanosa pt. „Pod Słońcem Szatana" rozchwytywana jest w szybkim tempie i czytana przez licznych zwolenników katolickiej problematyki w literaturze.

Jest właśnie dowodem wielkiej potrzeby wydawania tego rodzaju książek, które zdobywają sobie pełne uznanie u społeczeństwa.

Nie wiem, co zamierza w najbliższym czasie wydać Spółka Wydawnicza Pax, lecz sądzę, że zapoczątkowana w tak szczęśliwy sposób akcja wydawnicza, będzie kontynuowana w dalszym ciągu.

Nie chciałbym, by mnie zrozumiano, że wyżej napisane słowa mają być hymnem pochwalnym na cześć „Paxu", są one jedynie skromnym i bardzo dyletanckim wyrazem myśli czytelników, oraz zachętą do dalszego prowadzenia raz rozpoczętej akcji.

W. H.

DO RED. „DZIS I JUTRO"

W „Tygodniku Powszechnym" ukazały się artykuły Władysława Konopczyńskiego o „Cambridge History of Polan" wydanej w Anglii w 194[illegible] r. Wielotomowa ta książka jest historią Polski opracowaną zbiorowo. Jak podaje p. Konopczyński wywołała ona duży oddźwięk za granicą szczególnie w krajach anglosaskich i została bardzo szybko wyczerpana.

Jest to dowodem zainteresowania się cudzoziemców Polską i wykazuje potrzebę wznowienia nakładu oraz opracowania historii Polski w innych językach. Wydaje mi się, że przetłumaczenia jej na języki hiszpański, francuski, włoski, potrugalski, rosyjski (w tym języku są już opracowane), niemiecki, przyczyniłoby się do zbliżenia kulturalnego i naukowego z wieloma narodami świata władającymi w/w językami: jak kraje Ameryki Płd. i Środkowej, Półn. i Płd. Afryka, Bliski Wschód. Dzieło warte jest wysiłku — przyniesie napewno nieocenione korzyści.

Z drugiej strony uważam, że należy dbać o tłumaczenie źródłowych opracowań historii krajów obcych. Opracowania takie ograniczają się do niewielu tylko narodów i nie zaspakajają „ciekawości" zainteresowanych.

Mamy nadzieję, że tego rodzaju pracą naukową zainteresują się polscy historycy i podejmą się tej naprawdę wdzięcznej pracy.

S. W.

Sprawa rękopisów Stan. Ign. Witkiewicza

KOMITET WITKIEWICZOWSKI I REDAKCJA MONOGRAFII ZBIOROWEJ o ST. IGN. WITKIEWICZU (redaktorzy, rektor, Dr T. Kotarbiński i J. E. Płomieński) zwracają się do wszystkich, którzy posiadają nieogłoszone rękopisy, względnie maszynopisy prac St. Ign. WITKIEWICZA, z prośbą o wypożyczenie odnośnych rękopisów w celu wyzyskania w wyż. wym. monografii zbiorowej, ewentualnie ogłoszenia ich na łamach czasopism. Listowne porozumienie pod adresem: Warszawa, ul. Wilcza Nr 23 m. 3

J. E. PŁOMIENSKI.

PANIE REDAKTORZE

Po przeczytaniu w „Słowie Powszechnym" artykułu wstępnego będącego podsumowaniem akcji odczytowej i wieczorów autorskich katolickich pisarzy i publicystów, pragnę jako słuchacz wyrazić pełne uznanie dla tego rodzaju imprez, które w szerokich kołach katolickich spotkały się z wielkim zainteresowaniem.

O pożyteczności tej akcji dowodzą długogodzinne dyskusje, jakie wywiązywały się po każdym wieczorze autorskim, czy odczycie na tematy poruszone przez autorów. Bezpośrednie zetknięcie się twórcy i odbiorcy przyniosło abustronne korzyści, których nie dadzą publikacje na łamach prasy. Pozwoliło to na bezpośrednią wymianę poglądów na literaturę, wywołało ożywione dyskusje.

Ziarno rzucone wprawną ręką padło w dobrą glebę i przyniesie dobry plon.

Z poważaniem
C. S.

Dole i niedole prasy amerykańskiej

(dokończenie ze str. 4)

W związku z tym — ciągnie dalej Schoening — wydaje się nam błędem żądać, od katolickiego czasopisma, stanowiska bezkrytycznego w sprawach Kościelnych. Jest to pozostałością dawnego defensywnego stanowiska, które się odgradzało efektownym, ale nie solidnym murem. Krytyka przedstawicieli Kościoła może być brana za złe tylko przez tych, którzy identyfikują czynnik instytucyjny i ludzki Kościoła z Kościołem, jako całość. Duch dzisiejszych czasopism katolickich powinien być o tyle mocnym, aby go nie wzruszała obawa „odsłonięcia niezaprzeczalnych niedoskonałości widzialnego Ciała Chrystusewoge. Jest nawet dziwne, aby mogła powstać co do tego wątpliwość, skoro należymy do Kościoła ludzi grzesznych, przyznających ustawicznie **mea culpa**, a nie do Kościoła świętych i sprawiedliwych.

**
*

Postawa nasza wyklucza pogoń za sensacją, tak częstą pokusą dla współczesnej publicystyki. Byłoby jednak katastrofalnym, gdyby czasopismo popadło w ostateczność przeciwną: zaniechanie tego co jest ciekawe, podawanie tylko starych prawd. Każda prawda jest ciekawą, ale czasopismo ma obowiązek poszukiwania jej w swojej epoce, odnalezienia jej tam gdzie ona jest atakowana, wyzywana, ukryta lub zagubiona. Redaktor, zatem musi żyć w swojej epoce, być jej świadomy, przyjmować niebezpieczeństwa z nią związane, nie tylko dyskutować zagadnienia tych czasów, ale je doświadczać wewnętrznie.

W niespokojnych czasach nie słucha nikt głosów dochodzących z wieży z kości słoniowej, tylko tych, które brzmią jak wołania wśród burzliwych fal. I znów zaznaczyć tu wypada, że nie oznacza to pogoni za aktualnością i że o czasopiśmie, któreby wszystkie artykuły były po 10 latach przedawnione należy stwierdzić ze swego zadania nie spełniło.

**
*

Katolicyzm, aby służyć swoim funkcjom powinien zawsze być rewolucyjny. Jednocześnie jest on jednak i konserwatywny, gdyż rowinął się w ścisłym związku z historią i żadnego nie opuścił etapu.

Stosunek chrześcijaństwa do przyszłości posiada charakter dialektyczny, gdyż jest on jednocześnie optymistyczny i pesymistyczny. Chrześcijanin wie, że prawda chrześcijańska zdolna jest odnowić świat i że jest jego obowiązkiem przyczynić się do takiego działania tej prawdy. Lecz jednocześnie wie on również, że ludzkość nie osiągnie doskonałości i że ostatnie dni otoczone będą ciemnościami. Nie wie przy tym kiedy się ostatnie dni rozpoczną, ani czy się już nie rozpoczęły. To napięcie między pesymizmem, a optymizmem jest dla chrześcijanina możliwym do zniesienia tylko dzięki nad przyrodzonej nadziei powrotu Chrystusa. Katolickie czasopismo powinno utrzymać się w tym dialektycznym napięciu, bez przesuwania przewagi w nadziei do strachu, ani odwrotnie. Schoening, w związku z tym przyznaje, że tytuł czasopisma niemieckiego „Schoenere Zukunft" (Piękniejsza Przyszłość) zawsze mu się wydawał nieco heretycki, gdyż wskazuje na przewagę optymizmu. Taka postawa nie tylko mysi być zrealizowana w życiu publicznym. Możemy spodziewać się lepszej przyszłości, tylko dzięki naszej gotowości stanięcia odważnie wobec tej przyszłości, nawet wtedy jeśli ona będzie otoczona apokaliptyczną ciemnością!

Cóż zatem jest podstawą katolickiego czasopisma? — Ewangelia i solidne przygotowanie teologiczne.

Jeżeli to jest komunałem, to — kończy Schoening — tem lepiej dla nas".

Słuszny i ładny jest artykuł Schoeninga. Niestety nawet w „Commonweal" jest on wyjątkowym wydarzeniem. Amerykańska prasa katolicka nie różni się zasadniczo od całości prasy amerykańskiej. Społecznie jest konserwatywna, politycznie reprezentuje linię Departamentu Stanu.

K. O. K.

Nabyć, czytać, nie czytać?

Władysław Milczarek: Pożegnanie sadu, Warszawa 1948. (Biblioteka Oddziału Wiejskiego Związku Zaw. Literatów Polskich).

Tytuł wyznacza do pewnego stopnia treść liryk, zawartych w zbiorku. Są to utwory, które tłumaczą na język poezji wizje przyrody.

Krajobraz, który wchodzi w skład obrazów Milczarka, nie ma charakteru oderwanego. To zupełnie określony krajobraz z nad Horynia i Słuczy, o którym mowa w „Słowiku". Tkwi on, jak sądzę, w szeregu liryk początkowych, jak „Dzieciństwo", „U nas", „Dom", „Parów", „Źródło" i in. „Pożegnanie sadu" trzeba chyba uważać za nawiązanie do przedwojennych zbiorów Milczarka: „Liryzm Wołynia" i „Wołyński las". Nazywa on to sam „durzeniem się prowincją". My to nazwiemy właściwiej: regionalizmem literackim, który nigdy nie zawodzi poety i nie sprowadzi go na manowce, jeżeli zechce on posłuchać „wewnętrznego" głosu duszy. Milczarek słusznie wychodzi od konkretu. Czymżeż bowiem ostatecznie jest poezja liryczna, jak nie ustalaniem emocjonalnych stanów duszy, biorących źródło w określonym miejscu i czasie, z określonego miejscem i czasem przeżycia? Oczywiście, że to przeżycie wtedy tylko nabierze rangi poetyckiej, a więc i znaczenia ogólniejszego, jeżeli się poecie uda stworzyć dla niego adekwatny kształt poetycki. Takie liryki pisywał Mickiewicz czy Słowacki.

Główny ton uczuciowy „Pożegnania z sadem" — to ustalanie łączności człowieka z naturą. Poeta żyje pełnią życia, łącząc się z bujnym rozrostem sił przyrody, zmierzch życia w przyrodzie uważa za własną śmierć („Zmierzch lata"). Przy ustalaniu owej symbiozy dochodzi Milczarek do efektownych nieraz rezultatów, np. w wierszu „Dom", zwłaszcza zaś w doskonałym pod każdym względem „Śnie". Ten wiersz uważałbym za rewelację poetycką całego zbioru. Wobec takich osiągnięć z żalem się czyta „Południe", w którym temat „własny", „milczarkowy", nie dochodzi do głosu, do zadowalającego wyrazu literackiego.

Druga nuta uczuciowa „Pożegnania z sadem" jest nutą religijną. Nie brzmi ona tak mocno, jak poprzednia. Ostatecznie kulminuje w spowiedzi niedowiarka, który utraconą wiarę odzyskuje we wspomnieniach tradycji rodzinnej („Dziecięcy pacierz" „Próba poematu"). Tematyka okolicznościowa nie jest żywiołem Milczarka, mimo ładnych miejscami osiągnięć („Wielka nienazwana", „Sierpniowa warszawianka").

Ostatnią stroną poetyki Milczarka jest wyzbycie się maniery metaforyzmu. Okazuje się, że wyłamanie się spod wszechwładzy tego ogólnego panaceum na prozaizmy niekoniecznie prowadzi na bezdroża prozaizmów. Na własnej drodze poetyckiej można znaleźć własny język poetycki, jak jest u Milczarka. Toteż dysonansem w „Pożegnaniu sadu" jest taki wiersz, jak „Słowik", który już z daleka zalatuje cudzą manierą, „słowiowiązami" Tuwima. Inaczej jest, kiedy w pokrewnym „Słowikowi" „Deszczu" poprzestaje na tym, co mu dyktuje własny i nieucsony instynkt poetycki.

Są zresztą i prozaizmy. „Życie" wygląda na rozumowany wykład światopoglądu autorskiego. Są i konwencjonalizmy, widoczne w specjalnym upodobaniu autora do natury „fryzowanej", „natury kwiatów" (najmniej w „Słonecznikach").

I. n. d.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr I-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz wtorków i sobót, godz. 12.30 — 13.30

Druk. Skolimowska 5.

Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 180 złotych

B-80438